WŁADYSŁAW BIAŁY KSIĄŻE GNIEWKOWSKI.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Kiedy córa Ulrycha przywołuje i rozwija w marzeniu rycerską postać Gniewkowskiego księcia, on zamknąwszy się w narożnéj komnacie zamku, nie odgaduje wcale jéj uczuć. W téj chwili, nawet obraz Anny którą umiłował, ustąpił z jego myśli. Wieść odebrana świeżo z Wielkopolski, przypomniała mu niedawną z Ulrychem rozmowę, i poruszyła uśpione lecz nie wygasłe namiętności. Sprzymierzeńcy wspominając zniewagę wyrządzoną mu przez Ludwika, bolesną dla tych wszystkich, którzy w nim czcili krew Piastów, przyzywali go i obiecywali nie szczędzić krwi swéj dla poparcia praw jego. Nietylko lud włości, szlachta pod przewodnictwem wiernych mu Nałęczów, ale mieszkańcy miast wszystkich, z upragnieniem czekali przybycia księcia. Dalsze szczegóły miał mu udzielić Wyszota z Kurnika, który wkrótce stawi się przed nim, w celu towarzyszenia w podróży i przy-



Śpiewak też pełną wychylił czaszę, poczém za danym przez Ulrycha znakiem, zaczął nastrajać lutnię.

gotowania środków do mającéj nastąpić wyprawy.

Rozważając każde słowo pisma, książe uwierzył nakoniec w szczerość uczuć wielkopolanów, a niepowodzenie pierwszéj wyprawy, kładł na karb nieprzyjaznych okoliczności i na brak wytrwałości dawnych sprzymierzeńców.

Gdy tak dumał jeszcze nad przeszłością i przyszłemi wypadki, zjawił się w progu zbrojny mąż wyniosłéj postawy.

— Nie poznajecie mię widzę miłościwy książe, rzekł skłaniając się nisko.

— Owszem, jeno mię dziwi nie po mału, że prędzéj aniżeli sądziłem, oglądam was w tych murach, ale Bóg wam zapłać za pośpiech w méj sprawie, witajcie Wyszoto z Kurnika.

— Miałem na baczeniu, że czém prędzéj, tém lepiéj, dlatego dniem i nocą biegłem do was.

— Dobry goniec, a zacniejszy jeszcze z was rycerz Wyszoto. Nie zawiodłem się na was ani razu i radbym widzieć choć z jeden tysiąc podobnych do was przy moim boku, a wtenczas pewnie Wielkopolska cała upadłaby do stóp moich i zapłakaliby na onczas sługi Loisa, o biada im! biada Grzymalitom!

— Biada Grzymalitom! powtórzył ponuro Wyszota, uderzając o rękojeść miecza, a potém dodał jeszcze: w imieniu praw naszéj ziemi, w imieniu pokrzywdzonych braci, przybywam do was z błaganiem miłościwy książe, dajcie posłuchanie wołaniu dzieci waszych, jako jesteście kość z kości Piastów, prawych dziedziców rodzonéj matki, wielkopolskiéj ziemi. Ten co nam dziś króluje, nie czyni żadnéj sprawiedliwości, nie dość że siedząc na węgierskiéj ziemi, postanowił nad nami rządy niewieściego czepca, a na naszych starostwach i kasztelaniach osadza cały ród Grzymalitów i pokrewnych im małopolskich komesów, ale o hańbo, o wstydzie! łowi nas w sidła, obsadza jak bezrozumne zwierzęta w kniei, a uwięzionym każe podpisywać ustawę, istny czartowski wymysł, na przekleństwo potomnych i potępienie duszy naszéj. Mnie Bóg i święty mój patron ustrzegł od takiego sromu; nie byłem na ów czas w Koszycach, ale wielkopolscy bracia nasi, którzy się dali pochwycić w one sidła, żal się Boże spojrzeć na nich, tak pomarnieli biedni z tego wielkiego sromu. Skoro król nas zdradza, prawią, azaliż mamy dochowywać mu wiarę?

— Czy tak bez ogródki mówią? zapytał porywczo książe, chwytając za rękę Wyszotę z Kurnika, czy wszyscy Nałęcze za jedno trzymają z wami, czy Bartosz z Więcborga zawsze stoi po stronie króla?

— Ci tylko prawią i myślą jak powiedziałem, którzy miłują naszą wielkopolską sprawę, a Nałęcze, jeżeli niegłośno, toć pewnie duszą i sercem wszyscy trzymają z nami, krom jednego starosty Odolanowskiego Bartoszą, którego dopóki czart nie wypuści z opieki, dopóty stać będzie po stronie króla. Jeno nie tak łatwa będzie z nim sprawa, boć on już zbratał się z Grzymalitami i działa za jedno. Choć wprawdzie, czasami ludzie prawią że Bartosz nie zgadza się z naszym wielkopolskim starostą Sędziwojem Toporem i jakoby jeden na drugiego niechętném patrzali okiem, ale to wszystko mam ja za fraszki, kruk krukowi oka nie wykole, a Bartosz ma wkrótce pono zaślubić dziewkę Wedela, pana na Ujściu, który także za Loisem trzyma i wielce mu się zaleca.

— Co mówisz! córka Wedela ma poślubić Bartosza z Więcborga?

— Wszyscy o tém prawią. Już pono wyjdzie na to, że małopolscy panowie, jak nad podłym gminem nad szlachtą przewodzić będą; gdyby nie nasi Nałęcze, jako Wincenty z Kępy i Sędziwój z Swidna, co to jak sól w oku gryzą hardość Toporów i tych bezecnych Grzymalitów, jużby nam przyszło nakoniec wynieść się z ojcowizny i szukać przytułku w dalekich krajach, choćby jeno dla tego, ażeby we własnéj zagrodzie nie cierpieć takiego sromu. A nie dziw, że w taką hardość się wzbili, bo czego nigdy nie bywało dawniéj, odkąd Sędziwój z Szubina objął nad nami rządy, już jeno patrzeć, jak wszystkie starostwa poobsadza swojemi krewnemi i kmotrami, bo tak wielkie ma zachowanie u króla że co zechce to i zrobić może. Posadził niedawno na starostwie w Złotoryjskim zamku męża swojéj rodzonéj sio-

stry Krystyna ze Skrzypowa, choć ladaco i wielki pijanica, a tak mi Boże dopomóż! skoro się po temu nadarzy pora, wykurzyć go ztamtąd przyjdzie nam łatwo. A jest także w owym zamku córa Wedela, co to ma zaślubić Bartosza, bo ona też jest krewniaczką owego Krystyna i czeka tam powrotu ojca, który wyjechał za sprawą do królowéj matki.

— Anna ma zaślubić Bartosza i Anna mieszka w Złotorji? Zawołał książe, jakby zapytując się sam siebie i rozważając, czy to co słyszy jest we śnie, czy na jawie.

— Tak jest, a mówię to z umysłu, ażebyście wiedzieli jako poczynać w téj sprawie. Owóż jeżeli zechcecie wysłuchać mojéj rady, nienależy nam trwonić ani chwili czasu a opanować Złotorję, nim jeszcze Sędziwój z Szubina pomyśli o tém i zdobędzie się na jéj obronę, bo z Krystynem, jako powiadam łatwa jest sprawa, a jak będziecie już panem Złotorji, to nie wy a oni z wami traktować będą. Zważcie, że siostra Sędziwoja i córa Wedela będą w naszym ręku, więc pan na Ujściu niespokojny o los jedynéj córki i Bartosz z Więcborga, który jak prawią ludzie miłuje Annę, jeżeli nie poniżą się przed wami, to przynajmniéj na przeszkodzie stawać wam nie będą; a w każdym razie możecie być pewni, że bogatego okupu nie pożałują dla dziewki, boć jak wiadomo wszystkim, pan na Ujściu i pan na Odolanowie pełne a ciężkie mają skrzynie.

— Co mówicie o okupie Wyszoto? nie znajdzie się w całéj wielkopolskiéj ziemi tak ciężka skrzynia, któréjby złoto mogło wykupić Annę, skoro w mych już będzie rękach! zawołał Władysław Biały z iskrzącém okiem. Chciał daléj jeszcze coś mówić, ale zatrzymał się, jakby z uwagi że odkrycie tajemnicy może być jeszcze zawczesne, zwłaszcza przed takim sprzymierzeńcem jak Wyszota z Kurnika, którego nie żadna prywata, nie podła chęć zysku jak Ulrycha, ale jedynie wzgarda dla obczyzny i miłość dawnego obyczaju, popychała do dzieła, przeciw gwałcicielom ojczystych praw i swobód.

— Wziąwszy Złotorję zrobicie jak wam się spodoba i podacie im, jakie sami zechcecie warunki, a dużo już na onczas wygracie, jeżeli tak potężni przeciwnicy jak Fryderyk Wedel i Bartosz z Więcborga zawrą przymierze z wami. Bóg by to dał, żeby się sprawdziło co niektórzy prawią, że Bartosz, jak jest z rodu Nałęczów, tak też i miłuje krew Piastów i że nie po myśli mu wcale, to narzucenie niewieściego berła rycerskiemu i wolnemu ludowi. Czy tak jest, Bóg to i czasy wykażą, ale to wiem że dzielny z niego rycerz, a pan możny i wielkiego serca. Już jest w tém chyba jakaś czartowska sprawa, że ten Bartosz trzyma dotąd z małopolanami, bo on krwią i duchem jest Nałęczem i powinien być naszym.

— Jeżeli nie zechce połączyć się z nami, mniejsza o niego. Wszak znajdę jeszcze przychylne serca i dłonie na których mogę rachować pomoc i męztwo; jak myślicie Wyszoto?

— Przybywajcie jak najprędzéj, a znajdziecie tysiące mieczów gotowych podnieść się w waszéj obronie. Nie daléj jak za trzy dni, będzie czekać na was na pograniczu Gniewkowskiego księstwa, dzielny choć szczupły poczet rycerzy pod wodzą Stefana z Frlanga. Jeżeli postąpicie według mojéj rady, jutro równo ze świtem wyruszyć nam wypadnie; wtedy za trzy dni połączymy się z owym hufcem, a tam jak rozważycie sami, lub oczekiwać będziemy na większe siły, lub też uderzymy na Złotorję.

— Uderzymy na Złotorję! powtórzył ponuro Władysław, a po chwili milczenia podniósł głowę i chciał daléj mówić, lecz przerwało mu wejście Ulrycha.

Po zwykłem powitaniu, hrabia rozmawiał wraz z Wyszotą i księciem o rzeczach dotyczących przyszłéj wyprawy, w końcu zaś narady, jakby dla dodania serca wielkopolskim gościom, zaprowadził ich do izby, gdzie czekało już zastawione na stole wino, a wędrowny śpiewak ze Szlązka, miał wkrótce nadejść i rozweselić pieśnią.

V.

W komnacie krzątała się nadobna Jadwiga, która spłonąwszy rumieńcem na widok księcia, z uśmiechem powitała go-

ści; stał też tam także ośmnastoletni syn Ulrycha, o którym nie wspomnieliśmy dotąd, bo chociaż jedyny prawy następca ojcowskiego mienia i zamków bardzo był nieznaczącym członkiem rodziny. O ile rodzic był fałszywy i przebiegły, o tyle syn nie przydał się do spraw podobnych, nie tyle przez wstręt do złego, co przez wrodzoną jakąś nieudolność. To też Ulrych używał go jedynie jako posłańca, jeżeli mu wypadł ważny interes do braci, z któremi żył w ciągłych stosunkach, bo był posłuszny i trzeźwy, a zatém téj jedynéj mógł się spodziewać od niego usługi. Henryk, (takie było imie młodzieńca), widząc jak ojciec był obojętny dla niego, nie stawiał się przed nim, jak rzadko, i to za wyraźnym rozkazem; żyjąc w odosobnieniu nabrał zamiłowania do gwiaździarstwa, którego tajemnice odkrył mu pewien astrolog, czech wędrowny.

Gdy hrabia rozmawiał na stronie z Wyszotą z Kurnika, książe pozdrawiał jego córę i rozpowiadał jéj że jutro zamierza opuścić Drezdenko.

— Oby wam Bóg szczęścił w wyprawie, miłościwy książe, odparła dziewczyna, wszak prawda, że późniéj znów powrócicie do nas?

— Może, może, odparł z uśmiechem Władysław, Bóg to jeden wiedzieć raczy.

Nagle, jakby przypominając coś sobie, Jadwiga uderzyła się ręką w czoło i zawołała:

— Ot, pytam się was czy wrócicie, a toć słyszałam już nieraz od ojca i od stryjów, że macie niedługo zostać królem.

— Gdybym został królem, mówił z westchnieniem Władysław, wtenczasbym może prędzéj tu powrócił. Dzięki wam, za przychylność ku mojéj sprawie, ale mi jeszcze daleko i bardzo daleko do téj korony, dodał z goryczą, tysiące mieczów wisi nademną i nie jestem dzisiaj niczém więcéj jak biednym i nędznym tułaczem.

— Jesteście księciem z krwi Piastów i wielkim zacnym rycerzem, którego czyny głośne są wszędzie, odparła z zapałem Jadwiga.

— To nie dość dla pozyskania korony, zwłaszcza kiedy ją mieczem zdobywać potrzeba.

— Słyszałam jak mawiał ojciec że macie wielu przyjaciół.

— Tak jest, ale mam i wrogów wielu, którzy czychają na mą zgubę, pierwszy wielkopolski starosta może sąd uczynić nademną i skazać mię na gardło, bo król, sam król, który jest moim krewnym, kazał mię pojmać i zabić.

Boże! wyjąknęła Jadwiga i boleść głos jéj stłumiła, a blada jak chusta i drżąc cała oparła się o stół ręką, ażeby nie upaść na podłogę.

— Azaliż prawdą jest co mi się widzi, jakby los mój obchodził was tak wiele, zapytał zważywszy jéj wzruszenie książe.

Dziewica nic nie odpowiedziała, lecz spojrzała na niego boleśnie i wymownie, że cofnął się nagle i rzekł stanowczym głosem: Jeśli tak, zapomnijcie o mnie, radzę wam, zapomnijcie.

— Nigdy!... odparła smutnie.

W téj chwili poruszyli się wszyscy obecni w komnacie bo przybyli nowi goście, Arnold i Dobrogost bracia Ulrycha, a za niemi śpiewak wędrowny, którego obecność zwiastował już hrabia. Po zwykłém przywitaniu, nowo przybyli zajęli miejsca naokoło stołu, następnie z wielkich dzbanów nalewali i spijali wino. Władysław Biały podejrzliwym wzrokiem mierzył braci Ulrycha, bo Arnold i Dobrogost niespodziewanie pojawili się w zamku. Oblicza dwóch braci, piętno dzikiéj srogości nosiły i nie dziw, bo rozboje po drogach, najazdy domów i obdzieranie kościołów, zwyczajném ich były rzemiosłem.

Już goście wypróżnili dzban jeden i drugi, a śpiewak też pełną wychylił czaszę, poczém za danym przez Ulrycha znakiem, zaczął nastrajać lutnię, utkwił wzrok swój w obliczu Jadwigi, któréj wejrzenie zwrócone było na Gniewkowskiego księcia. W miarę jak wpatrywał się w twarz cudnéj dziewicy, budziło się w nim natchnienie, bo oko coraz żywszém świeciło blaskiem, a głos z razu cichy i drżący, spotężniał w końcu, gdy taką zanucił balladę:

Gruchając smutnie z sioła wzleciała
Po nad dąbrowy gołąbka biała,
O, nie leć, nie leć w górę nieboże,
Bo cię ptak czarny pochwycić może,

Może pochwycić w drapieżne szpony,
Ty biedna, nie masz sił do obrony.
Zginiesz w tych szponach, albo od grotu,
Nie leć, bo nie masz siły do lotu,
Tobie pilnować gniazda i sioła,
Tyś biedna, słaba, siostra cię woła.
Ale gołąbka nie baczy głosu,
Jakby szydziła z przestróg i losu
Co do rodzinnéj wiąże ją strzechy,
Leci i szuka w górze pociechy,
Jakby spróbować sił swoich chciała,
Leci za słońcem gołąbka biała.
A w tém jak chmura, bo czarny cały,
Zerwał się orzeł z sąsiedniéj skały,
Spływa ku ziemi chyżéj i chyżéj,
I potężnemi macha skrzydłami,
A gołąbeczka wyżéj i wyżéj
Trwożnemi mierzy orła oczami.
Z początku biedna drży i truchleje,
Lecz ją zdumiewa moc jego wzroku,
Rzekłbyś że z groźb się, z obawy śmieje,
Taki czar rzucił na nią uroku,
Bo zkądże, zkądże ta moc i siła,
Ona co taką trwożliwą była,
Leci już prosto w orła objęcia,
Czyliż to nie był urok zaklęcia?
Patrz, patrz! już orzeł schwycił ją w szpony,
I porwał w górę, wiatr jeno świsnął,
Machał skrzydłami w słońcu olśniony,
Raz nad dąbrową chmurą zawisnął...
I już pod niebem z gołąbką białą,
Krąży ów orzeł w górze nad skałą.
I na jéj szczycie zdobycz swą składa,
Ależ nieboga, biada jéj, biada,
Tak ją ta podróż srodze znużyła,
Że już bez tchnienia gołąbka miła.
Nie tobie biedna gonić za słońcem,
Orzeł dla ciebie był śmierci gońcem!

Gdy umilkł dźwięk lutni i wraz głos śpiewaka, Jadwiga niespokojnym wzrokiem śledzić poczęła poruszenia księcia, ale on od czasu ostatniéj rozmowy nie patrzył wcale na nią, był posępny i zamyślony pomimo że ciągle spijał wino. Inni biesiadnicy szli za przykładem Władysława Białego, a bracia Ulrycha byli już dobrze podchmieleni, zwłaszcza Arnold, który w silnych wyrazach oświadczał się z przyjaźnią Gniewkowskiemu księciu, na potwierdzenie czego używał od czasu do czasu klątwy, mianowicie kiedy mówił o królu Loisie i jego sprzymierzeńcach, jeden tylko Wyszota z Kurnika nic prawie nie pił i ponuro patrzył na Arnolda, jak gdyby słowa pijanego brał za pocałunek Judasza. Skoro śpiewak opuścił komnatę, wyszła za nim i córa Ulrycha. Książe Władysław tak był zadumany, że nie uważał niczego, nawet oświadczenia Arnolda mimo jego odbiły się uszów, rzecz jednak szczególna, że chociaż może najwięcéj wypił tego wieczora zachowywał najzupełniejszą przytomność, a kiedy oko jego spotkało się z wzrokiem Wyszoty, powstał z siedzenia, zmierzył pogardliwie Arnolda i szepnął coś Ulrychowi na ucho, poczém tenże powstał i zaczął z nim rozmawiać na stronie. Spojrzenie księcia nie uszło uwagi pijanego niemca, który nachyliwszy się ku Dobrogostowi, wskazał na Władysława Białego i Wyszotę z Kurnika i zaklął w języku swoich przodków, co jednak nie sprawiło żadnego wrażenia na osobach, przeciwko którym były owe złorzeczenia wymierzone.

Ulrych długo jeszcze rozmawiał z księciem, poczém i Wyszota z Kurnika do nich się przybliżył. Arnold z Dobrogostem zapijali ciągle, aż w końcu tak trunek ich zmorzył, że język ich nie był zdolny do swobodnego ruchu, więc tylko od czasu do czasu przebąkiwali coś z cicha i kiwali głowami, aż zwalili się nareszcie na stół i zasnęli.

Tymczasem wielkopolscy goście ułożyli pomiędzy sobą, że w dniu następnym stanowczo opuszczą zamek, w celu połączenia się z ludem zbrojnym który oczekuje na granicach Gniewkowskiego księstwa. Ulrych najuroczyściéj im przyrzekł że wystąpi wkrótce ze znaczną siłą i kiedy tamci uderzą na Złotorję, on jednocześnie zdobywać będzie inne grody i zamki na rzecz Władysława. Po téj naradzie rozeszli się na spoczynek, a noc cicha rozpostarła nad ich głowami swą tajemniczą oponę.

VI.

Noc ostatnia przed wyjazdem Gniewkowskiego księcia z siedziby Ulrycha, była tak groźna milczeniem, jak noc każda pod któréj czarną zasłoną, życie ludzkie wre wirem namiętności, burzy się falą zawodów, niewyczerpanych nigdy pragnień i pryska pianą goryczy. Różne i sprzeczne uczu-

cia budziły się w piersiach mieszkańców zamku i do każdéj kołatały duszy.

Ciemna, ponura i długa noc była dla księcia Władysława, ta noc bowiem, to może ostatnia dla niego, bo każdy krok który miał zrobić w wielkopolskiéj ziemi zagrażał mu zgubą, ale zarazem dzień jutrzejszy mógł być także przedświtem jego przyszłego blasku i chwały?... Myślicie może że duch księcia w téj chwili chwiał się pomiędzy obawą a nadzieją przyszłego losu, że złowroga mara śmierci trwożyła jego serce, lub genjusz chwały dotykał swym wieńcem skroni rycerza w półsennych marzeniach? Nie, nie! inne obrazy przesuwały się w myśli i niepokoiły duszę. Były to widzenia przeszłości, prawdziwe jak głos sumienia, złowrogie jak upiory, przeciwko którym napróżno usiłował się bronić, by myślą o jutrze zakląć dawne z grobów powstałe mary, zawsze jutro wywoływało wczoraj i zawsze z przyszłością zbiegały się przeszłości obrazy. Tak więc stanęło przed nim całe ubiegłe życie, najprzód burzliwa młodość pełna wrzawy, uciech i swawoli, a potém ta czysta pierwsza miłość ku dziewicy która oczarowała go swym powabem i ślub z tą ukochaną, córą Strzeleckiego księcia i lat kilka szczęśliwego z nią pożycia w łasce wielkiego króla i wpoważaniu narodu, kiedy z prawodawcą Wiślickim, stryjem swym Kazimierzem i z biskupem kujawskim Maciejem, zasiadał na sądach w starym sandomierskim grodzie. Znów daléj, stanęły mu w myśli spory z królem, wybuchy gniewu szalonéj namiętności—i natychmiast przesunął się przed nim cień zbroczonego krwią Kiwały kujawskiego sędziego, którego własną zamordował ręką, a za tym blada postać miłéj małżonki, co umarła z boleści a srogiego żalu, którego on był sprawcą.

Jak życie tak myśl niespokojna pędzi go znów daléj i daléj.... widzi się w powrocie z ziemi świętéj w Pradze, na dworze cesarza Karola, a tam już nie pora do nabożnych rozmyślań, tam uciechy, tańce i turnieje, wiruje w tym szale i upaja się jego dusza, ale po chwili tęschni do innego życia, bo jeszcze od czasu do czasu, pomimo wiru biesiady, blasku i chwały turniejów powstają z grobu dawne mary i niepokoją jego serce.

Więc gwarniejszéj znowu łaknie biesiady, potrzeba mu huku trąb wojennych i szczęku tysiąca mieczów, walki groźniejszéj nierównie niż popis w turniejach i obszerniejszego pola niż szczupły obręb szranków. Opuszcza więc dwór cesarski, przebiega błyskawicą obszerne ziemie, wysokie góry i bogate miasta i staje w dzielnicy rycerzy krzyżowych. Tam pozdrawiają nowego zapaśnika w pośród wojennego obozu; mistrz sadza go obok siebie w gronie przedniejszych rycerzy, około okrągłego stołu, na zaszczytném miejscu, które przypominało sławny ów stół króla Artura. Więc znów krwawe obrazy przesuwają się przed jego oczami; wojuje z pogańską Litwą, pożar obejmuje sioła i grody, ale ani widok łuny, ani szczęk mieczów i jęk konających nie zagłuszył w duszy rycerza dawnych mar i wspomnień. Ukazuje mu się na pobojowisku blada postać zmarłéj małżonki, więc korzy się przed nią i woła: ha! dosyć już, dosyć, téj krwi i wrzawy, to twarz mego dobrego anioła, to jego głos słyszę, który mię przyzywa do siebie!

I znowu czas skruchy i rozmyślania; w cichych klasztornych murach klęczy śpiewając psalmy pokutne.... ale niedługo, niedługo, a znów obraz za obrazem się zmienia... dnie pokusy i walki.... bo znów miłość i blask korony uśmiecha się w górze i bluszczem i kwieciem obsypuje mu skronie. I wstają z grobów ukoronowani przodkowie, ci z mitrami, owi z berłami w dłoniach, a jeden z Piastów dziad jego, najmniejszy ze wszystkich wzrostem, ale najdzielniejszy z oblicza, podejmuje koronę i zawiesza nad jego głową; z drugiéj strony widzi tuż obok siebie młodszego Piasta z ogromną księgą zakonów i zdaje mu się jakoby go zgodnie naznaczali spadkobiercą korony, kiedy nagle grom pomiędzy niemi pada i znika cudne widzenie, a pozostaje ciemność i próżnia zawodu. Aliści w końcu usuwają się obrazy dnia wczorajszego i nastaje jutro, a z nim nowa szalona walka i to nowe ostatnie namiętne kochanie, co budzi i rozognia w jego piersiach wszystkie złowrogie moce dumy, żądzy posiadania i zemsty. I widzi

wrogów zastępy przed sobą i czyta groźny wyrok Ludwika króla, więc bój czeka go krwawy, wyrzuca rękę w górę, jakby już mieczem miał walić wrogów i woła z roziskrzonemi oczami: Złotorja i Anna, lub śmierć!

Kiedy te groźne wyrazy wyrywały się z piersi Gniewkowskiego księcia, ciężka walka niepokoiła również serce córy Ulrycha; wszystko co było niegdyś marzeniem, te niby mgły tajemnicze, które zasłoniały dalekie obrazy, rozwiały się i odsłoniły rzeczywistość. Uczucie, którego doświadczała teraz, znaném dotąd jéj było jeno z imienia i przytomném w młodej wyobraźni, co z mglistych obłoczków na niebie stwarza sobie kształty, postacie rumiane pozłotą słońca i piękne na chwilę, piękne póki lada wiatru tchnienie nie rozwieje i nie rozniesie ich daleko. W prawdzie jeszcze za życia matki, nim oddali ją do klasztoru, dziecinna jéj wyobraźnia upajała się nieraz dźwiękiem pieśni wędrownych gęślarzy, którzy opiewali rycerskie i miłosne przygody, ale były to sny tylko, z których żaden nie wyrył się głębiéj w jéj sercu. Teraz dopiero płomień nieznanéj namiętności, rozświetlił obraz jéj duszy, kiedy poczuła że kocha wątpiąc ażeby być mogła kochaną, przejrzała się we własném zwierciadle zalękła i zadrżała. Skoro powtarzając po tysiąc razy rozmowę tego wieczora, przypomniała ostatnie księcia wyrazy, twarz jéj gorączkowym pałała płomieniem, zrywała się z posłania i załamując ręce rozpaczliwym wołała głosem: on każe mi zapomnieć o sobie, nigdy, o nigdy, mój Boże! I była ta noc dla niéj ciemną i bardzo długą i wyglądała to znów lękała się nadejścia poranku. Dzień miał zaświtać wkrótce, ona czuwała i inni czuwali również, ale jakżeż różne były ich marzenia!

Hrabia Ulrych leżał długo w sypialnéj komnacie, a sen nie zamykał mu powieki. On był spokojny jak zawsze, a nawet radował się z wyprawy księcia uczuciem zbrodniarza, który zabił głos sumienia. Obliczał korzyści, które go czekają, nawet w razie niepowodzenia, nie cierpiał on bowiem króla Ludwika i jego rządów, rozważając wypadki mające nastąpić w Wielkopolsce myślał sobie: Niech roznieci Władysław pożar buntu po całym kraju, pomagać mu będę chętnie i pewnie na tém nic nie stracę. Jeżeli powiedzie się Gniewkowskiemu księciu i zdobędzie część kraju, tém lepiéj dla mnie, bo pozyskam silnego sprzymierzeńca, musi mi wynagrodzić sowicie pomoc sobie daną, powiększę moje posiadłości. W przeciwnym wypadku, jeżeli upadnie Władysław, nie wrócę bez bogatego łupu a grody i sioła suty okup złożyć mi muszą. Skoro ujrzę, że daremne są usiłowania księcia wycofam się w porę i okażę królowi że nie myślałem wcale o dopomaganiu mu w jego zamiarach.“ Tak dumał Ulrych i zaśmiał się dziko na myśl zniszczenia i pożogi, a kołysany w takich marzeniach nie mógł długo zamrużyć oczu i czuwał większą część nocy.

A był gość w zamku, który z odmiennych pobudek czuwał także i bezsenném okiem spoglądał w przeszłość i przyszłość. Wyszota z Kurnika dumał bolesnie nad ziemią, swą karmicielką, w któréj sercu miał rozniecić wojnę i pożogę i na tę myśl pot zimny oblewał mu skronie; ale kiedy wspomniał na przeszłość do któréj był przyrośnięty jak jemioła do swego drzewa, na poszanowanie władzy królewskiéj ostatnich Piastów, ich sądu i prawa, kiedy porównał tę przeszłość z teraźniejszością, w któréj ulubieńcy Ludwika wyłamawszy się z pod wszelkiéj władzy rządzą narodem według woli i obszerne przywileje swoje przelewają na innych, z ich ramienia postawionych starostów, z których każdy jest samowładnym panem w swoim grodzie, skoro nareszcie wspomniał na to, że nienawistny mu ród Grzymalitów, w tak wielką wzbił się potęgę, że wkrótce rodową siecią swoją ogarnąć może Wielkopolskę całą.... wtedy krew mu nabiegała do serca, chwytał za miecz po omacku, jakby chciał zmieść za jednym zamachem całe małopolskie stronnictwo, z groźbą wymawiał imiona wrogów i wzywał pomsty bożéj nad ich głowami.

VII.

Już słońce dawno zapadło za lasem, a księżyc senny wychylił się z za chmury i

odsłonił ponury krajobraz okolicy zarosłéj lasem, którego bok jeden okalał rzekę Drwęcę, niedaleko jéj ujścia do Wisły, wpobliżu Złotoryjskiego zamku. Noc była chłodna, jak zazwyczaj w końcu miesiąca Września, na wązkim smugu, pomiędzy czarnym lasem a rzeką, buchały płomienie roznieconego ogniska, około którego ogrzewała się gromada ludzi rozmaicie i dziwnie ubranych i uzbrojonych; było ich wszystkich około dwustu. Jedni siedząc gwarzyli i zapijali, drudzy leżeli i drzemali, inni znów chodzili opodal, lub rozstawieni w różnych kierunkach na czatach przysłuchiwali się pilnie; od czasu do czasu jedni drugim podawali hasło. Uzbrojonych w kopje pomiędzy niemi było nie wielu, po większéj części mieli tylko miecze przy boku, lub duże noże za pasem. Sądząc z ilości koni, które osiodłane pod lasem stały, wnosić było można że większą część tego zastępu stanowili piesi, których ubiór składał się z kożuchów i kaftanów, ale postawy barczyste, twarze ogorzałe i zarosłe, przy tém zuchwały i wyzywający wyraz twarzy nadawał im cechę groźną. Widząc ich zebranych w malowniczéj gromadzie, przy jaskrawém świetle ogniska, rzekłbyś, że sam szatan, gdyby zamyślał o utworzeniu drużyny, nie mógłby uczynić lepszego wyboru. Na pniu spróchniałego dębu siedział mąż oparty na mieczu przyodziany w zbroję, o parę kroków stał pachołek trzymając w jednéj ręce cugle konia, a w drugiéj hełm pana, z drugiéj zaś strony stał rycerz, mogący mieć około lat trzydziestu wieku. Mąż z białemi włosami, podniósł nagle głowę i pierwszy przerwał milczenie, zwracając mowę do młodego towarzysza swego: Stefanie z Frlanga, téj nocy muszę być jeszcze w Złotorji, czekam tylko na Jurka, którego posłałem na zwiady, a jakiekolwiek przyniesie mi wieści, zamiaru mego nie porzucę.

— Sprawiedliwie mówicie, miłościwy książe, najlepiéj nocną porą uderzyć na Złotorję, zwłaszcza że starosta Krystyn nie spodziewa się was ujrzeć w tak prędkim czasie.

— Wy Stefanie, nie tracąc czasu, wziąwszy kilku kopijników z sobą pojedziecie do Gniewkowa, pomówicie w mojém imieniu z mieszczanami, niechaj w pogotowiu czekają na mnie, bo nie daléj jak za dni kilka, skoro połączę się z Ulrychem, uderzę na zamek i wypędzę Gerwarda ze Słoniewa; następnie udacie się do Inowrocławia aby wybadać co myślą mieszczanie tameczni i o ile rachować na nich mogę, nie szczędźcie im w mojém imieniu obietnic, rozpowiadajcie wszędzie że wynagrodzę hojnie każdego według zasługi i dam swobody, jakich sami odemnie żądać będą, byleby tylko przysięgli mi na wierność i nie złamali danego słowa.

— Spełnię wasze rozkazy i spodziewam się, że Gniewkowianie radzi będą powitać was w swych murach, bo pamiętają dobrze waszego ojca i dziada, a wolą Piasta mieć za pana, niż jakiegoś starostę który według woli sądy czyni i panuje nad niemi, a pokrzywdzeni przez niego nie mają się do kogo uciec w potrzebie, bo król bardzo daleko, a Bóg wysoko w niebie. Inna rzecz jest z Inowrocławiem, mieszkańcy tam są zamożni, boją się utracić mienie, zamek jest zaś obronny i mocna go strzeże załoga.

— O Inowrocławiu pomyślemy późniéj, odparł książe Władysław, pierwéj muszę zdobyć Złotorję i Gniewków i zebrać znaczną ilość ochotników, wam więc poruczam tę sprawę; kiedy Wyszota z Kurnika ściąga pod moją chorągiew wielkopolską szlachtę, wy gromadźcie mieszczan, odbierajcie od nich przysięgę, zaczynając najprzód od Gniewkowa, gdzie da Bóg! najpóźniéj za dni kilka połączę się z wami. Ale otóż wraca Jurko z towarzyszami, widzę że wiodą trzech brańców, dobry to początek.... może nie jednéj dowiemy się tajemnicy.... Wy tymczasem Stefanie gotujcie się do podróży, bo na pośpiechu wiele mi zależy.

Skłonił się rycerz księciu i odszedł na stronę z gotowością spełnienia rozkazu, młody ten junak wiódł ród swój z okolic Gniewkowa, dokąd dziad jego przybył, a odziedziczywszy po ojcu, wraz z imieniem tradycyjne przywiązanie do krwi książąt kujawskich, oddawna był jednym z najwierniejszych sprzymierzeńców Władysława, którego każdy rozkaz był dla niego

świętym, nie miał zresztą żadnych innych politycznych przekonań, a burzliwe życie Gniewkowskiego księcia, wiązało go jeszcze silniéj powabem uroku i nadzieją polepszenia losu przy jego boku.

Jurko, którego w téj chwili spostrzegł Władysław Biały, był ni mniéj, ni więcéj, jak hersztem bandy rozbójników, chociaż wypada nam dodać, że stanowisko takie w owym czasie nierównie ważniejsze było jak dzisiejszych łotrów rozbijających po drogach. W owych wiekach średnich, kiedy z powodu braku oświaty i zdrowszych pojęć, w ustawach społecznych najsurowsze prawo nie miało mocy wykonawczéj, powszechnemi niemal wszędzie były najazdy i walki, w których brały udział nietylko osoby rycerskiego stanu, ale nawet często zasłużone w narodzie postacie; nie rachując na prędkie i słuszne rozstrzygnięcie sprawy, pokrzywdzeni najczęściéj sami sobie wymierzali sprawiedliwość. Dowody męztwa były cenione tak wysoko, że czasami jeden czyn waleczny uważany jako zadośćuczynienie za popełnione największe bezprawia, oczyszczał i podnosił sławę rycerza. Ludzie znani z doświadczonego serca w boju byli poszukiwani wielce, bez względu na ród ich i stosunki towarzyskie. Dowódzca rozbójników Jurko nie jednemu z możnych panów znakomite wyświadczył usługi, nie dziw więc że Gniewkowski książe użył go także za narzędzie do uskutecznienia swych widoków. Jurko dobrze wyćwiczył się w swém rzemiośle i od lat kilku był postrachem mieszkańców dobrzyńskiéj ziemi, napadał dwory szlacheckie i rozbijał kupców po drogach. Człowiek ten, gdyby był żył w innych czasach, może znakomitym zostałby wodzem, bo cechowała go nadzwyczajna odwaga i przebiegłość umysłu; jeżeli w celu pojmania go wysłany był z okolicznych grodów znaczny hufiec zbrojny, można było zaręczyć, że wyprawa skończy się na bezowocném poszukiwaniu iże Jurko znajduje się już o kilkanaście mil od miejsca, w którém najprędzéj spodziewali się go znaleść; kiedy bowiem nieuchronna groziła mu zguba, rozpuszczał gromadę, któréj członkowie rozbiegali się w różne strony, ale tak, że jeden wiedział o miejscu pobytu drugiego, i w razie potrzeby, za danym znakiem zbiegali się znów do



Na pniu spróchniałego dębu siedział mąż oparty na mieczu, przyodziany w zbroję, o parę kroków stał pachołek trzymając w jednéj ręce cugle konia.

wspólnego ogniska, około swego wodza. Jurko nie był zwyczajnym rozbójnikiem, który korzysta z ciemności nocy i napada na śpiącego, on walczył ciągle i często narażał życie, wprawdzie grabież była jego główném rzemiosłem, ale do celu swego szedł odważnie, w biały dzień zdobywał dwory możnych panów, pierwszy piął się na mury, nie bacząc na pociski strzał i grad kamieni.

Łotr ten, miał nawet pewne zasady uczciwości, bo był najwierniejszym sprzymierzeńcem; skoro związał się słowem, że będzie dopomagać komu w danéj sprawie, to można było polegać na nim niezłomnie; wtedy bił się jak lew do końca i nie dał się przeciągnąć na przeciwną stronę, ani żadną groźbą, ani nadzieją choć największego zysku. Takim był Jurko, który stawił się teraz przed księciem Władysławem wiodąc za sobą trzech brańców, pojmanych pod murami Złotoryjskiego zamku.

Kiedy z chlubą przedstawiał swoich więźniów, książe powstawszy przypatrywał im się zbliska, potem zapytał się o imię jednego z nich.

— „Ten jest Hanko z Brześcia; młynarz i fabrykant machin,“ prostując się odparł Jurko.

— Tyś jest więc owym Hankiem, znanym rzemieślnikiem machin wojennych? W porę przybywasz mi ptaszku, bo właśnie potrzebuję dziś twojéj pomocy. A zkąd on powraca, gdzie go ułowiłeś Jurku?

— Pod samemi murami Złotorji, właśnie w chwili kiedy wyszedł za bramę twierdzy, złapaliśmy go w zaroślach przez które przemykał się ku rzece.

— Chciał już frunąć zapewne, ze złośliwym uśmiechem podchwycił książe.

— Tak, nie inaczéj, bo łódź w pogotowiu czekała na rzece i ci także dwaj rybacy, których zabraliśmy z sobą.

— Dwaj rybacy, powtórzył Władysław i zmierzył ich od stóp do głowy, a po chwili dodał: dobrze, oni mi się przydadzą, gracko spisałeś się Jurku.... a co tam słychać w Złotorji, co?—zapytał Hankę, groźnym rzucając nań wzrokiem.

— Goście z Brześcia przyjechali do Złotorji i starosta przez trzy doby podejmował ich suto, z muzyką i tańcami, drżącym głosem odparł Hanko.

— Mów śmiało, a odpowiadaj na wszystko, o co ci się zapytam, bo chcesz czy nie chcesz, prawdy dowiedzieć się od ciebie muszę;—powiedz mi najprzód, jacy tam są u starosty goście?

— Był w Złotorji i przez dni trzy tam gościł zacny Fryderyk Wedel, pan możny na Ujściu, ale ten już wyjechał do Krakowa.

— Dawno jak odjechał?

— Piąty dzień już minął.

— A kto z nim był więcéj?

— Bartosz pan na Odolanowie i Anna córka pana na Ujściu.

— Bartosz i Anna mieszkają li jeszcze w Złotorji?

— Starosta Odolanowski wyjechał wczoraj, jeno córa pana na Ujściu została w Złotorji i czekać będzie, dopóki jéj rodzic nie wróci z Krakowa, poczém, prawią ludzie, że Fryderyk sprawić jéj ma wesele.

— Czy oprócz nich, obcego nikogo nie ma?

— Wczoraj rozjechali się wszyscy, zostali jeno dwaj bracia starosty Krystyna, Jaśko i Grzegorz.

— Dobrze, ale pamiętaj na to, że skoro się przekonam o fałszu, każę cię natychmiast powiesić na najwyższéj gałęzi. Mów, co tam robiłeś, gdzie i po co miałeś z temi ludźmi odpłynąć?

— Co tam robiłem?—powtórzył pytanie zakłopotany Hanko.

— Tak, wyznaj prawdę, albo mów ojcze nasz i gotuj się wisieć.

— Sporządzałem machiny, miłościwy książe, odrzekł strwożony młynarz.

— Dobrze, a dokąd i po co miałeś jechać?

— Miałem popłynąć z temi rybakami po wino do Torunia, które starosta Odolanowski obiecał wydać panu staroście Krystynowi.

— Czy bardzo Krystyn smakuje w winie?

— Oj! bardzo, miłościwy książe, pił on z gośćmi przez trzy dni i trzy nocy ciągle, aż wszystkie beczki wypróżnili w piwnicy, a że chciał jeszcze podochocić sobie i braciom przy tém ucztę wyprawić, więc przy

pożegnaniu wczoraj zaklął starostę Odolanowskiego, ażeby jadąc do domu, wstąpił do Torunia i zamówił dla niego wino, boć ztamtąd zawsze je bierze, jako mu najlepiéj smakuje; po to więc miałem popłynąć z rybakami łódką do Torunia....

— Wiem już—rzekł, przerywając Hance dalsze opowiadanie Władysław i chodził czas jakiś tam i napowrót niby w głębokiéj zadumie, poczém stanął i zapytał znowu:

— Czy myśli o napadzie, czy gotuje się do obrony Krystyn?

— Bóg go tam wiedzieć raczy, ale zamek obwarowany mocno i załoga w nim teraz stoi znaczna.

— Ile ma ludzi zdolnych do obrony?

— Oprócz służby zamkowéj i pachołków pana starosty, będzie więcéj niż sto zbrojnego ludu.

— Czy jeno pewnie tak jest jako mówisz?

— Klnę się na moję duszę, że wam nie skłamałem ani jednego słowa.

— Pamiętaj, że zginiesz nieochybnie, jeśli o najmniejszym przekonam się fałszu. Teraz odejdź i czekaj pod strażą na dalsze rozkazy.—To powiedziawszy skinął ręką, poczém wzięli Hankę na stronę i przyprowadzili dwóch rybaków.

— Jakiem zatrudniacie się rzemiosłem? zapytał książe, mierząc surowym wzrokiem więźniów.

—Rybołowstwem—odparł jeden z nich.

— Rozumiem, łowicie ryby na wędkę i tak mi się widzi z waszéj postawy, że musicie być biegli w swojém rzemiośle, a dużo zarabiacie dziennie?

— Różnie się zdarza, czasem dziesięć, czasem nie więcéj jak sześć denarów.

— Tak, im większa wpadnie wam w ręce ryba, tém więcéj za nią zapłacą. Cóż powiecie na to, gdy wam nastręczę tak bogaty połów, że za jeden dzień zarobicie więcéj niż przez miesiąc cały, ba! takiego ułowicie szczupaka, o jakim ani wam ani dziadowi waszemu się nie śniło.

Oczy rybaków wyrażały podziwienie.

— Ha, ha! nie domyślacie się pewnie jaki będzie ów szczupak, wszak prawda?

— Nie wiemy,—odparli ruszając ramionami.

— A co? gdybyście mi złowili na wędkę starego Krystyna....

— Starostę Złotoryjskiego? zawołali oba z niedowierzaniem.

— Tak, nie inaczéj, bogaty połów mielibyście hultaje! — to powiedziawszy wyjął z kieszeni trzy sztuki złota i przesuwał przed ich oczami, jakby ich chciał oczarować jego blaskiem.

— Przyznajcie że prawdę mówię, szczupak jest tęgi, a zapłata za niego nie lada.

— Prawda miłościwy panie — rzekł jeden z rybaków uśmiechając się chciwie do błyszczącego w ręku Władysława złota.

— A więc zgoda, jaki będzie połów, taka nagroda. Jeżeli zrobicie jak wam każę, ułowicie ogromną rybę i złoto będzie wasze.

Słuchajcie uważnie.

— Słuchamy, jednym głosem zawołali rybacy, wyciągając szyję i nadstawiając ucha.

—Macie natychmiast popłynąć do Torunia, gdzie pokłonicie się staroście Odolanowskiemu i powiecie że przysłani jesteście od Krystyna po wino, które ów pan obiecał mu dostawić; jeżeli zapyta się o Hankę, odrzekniecie na to, że zaniemógł nagle i dla tego nie przybył z wami. Wyda wam wino, dobrze, nie wyda, to i na to znajdzie się rada, bo daję wam na zakupienie onegoż trzydzieści groszy krakowskich; pamiętajcie jeno że tyle sprowadzić musicie wina ile potrzeba na upojenie starosty i ludzi zamkowych, zwłaszcza tych, którzy stać będą przyszłéj nocy na czatach. Skoro już zasną mocno, otworzycie bramę po cichu, a ja wejdę do zamku z mojemi ludźmi i nim ockną się nieborzęta powiążę ich jak baranów i z kozłów zrobię jagniątka. Czy uważaliście dobrze co wam mówiłem? Sprawcie mi się zręcznie, a jeden włos z głowy wam nie spadnie i zapłata czeka was hojna; trzy sztuki złota, będą nagrodą za trudy. Zgoda?

— Wszystko sprawimy, jako rozkazujecie.

— Tak upojemy starostę, że pewnie prześpi się do rana, zawołał drugi tryumfującym głosem.

— Jutro ze świtem wyruszycie, rzekł książe, a pod wieczór powinniście być z po-

wrotem w Złotorji, gdzie z ludem moim oczekiwać na was będę, zresztą już wiecie wszystko.

— Wiemy, odparli ochoczo rybacy.

Po téj rozmowie odwrócił się Władysław Biały do stojącego obok Jurka. Jurko, jak ci się mój zamysł podoba?

Zapytany nic nie odpowiedział, jeno spojrzał na księcia z wyrazem dzikiéj radości i niemego uwielbienia.

Książe pochylił głowę i stał zadumany przez chwilę, poczém wyprostował się nagle i zawołał rozkazującym głosem: zmienić ludzi na czatach a niech bacznie czuwają na straży. Hankę niespuszczać zoka, bo on pójdzie z nami pod Złotorję i potrzebny nam będzie, gdy panami staniemy się zamku. Noc jest już późna, trzeba trochę wypocząć, bo jutro ciężka czeka nas robota.—Pachołek księcia rozłożył na trawie pod dębem skórę niedźwiedzia, na któréj położył się najbliższy krwi królewskiéj potomek Piastów, a księżyc długo nie dał mu zasnąć, bo jego zimne i jakoby szyderskie wejrzenie ciągle nowe a bezładne nasuwało myśli.

(D. c. n.)

TRZY POKOLENIA.

(Dokończenie.)

Są wzniosłe dusze które w chwilach wyjątkowych umieją zapomnieć o sobie, które swe bóle, swe prace składają na ołtarz ogólnego pożytku, całe zapatrzone w Niebo, w najświętsze cele człowieczeństwa, nie bacząc czy dla nich na ziemi przyjdzie lub nie, uznania nagroda. Lecz u tłumu, jakkolwiek go niekiedy porywają najszlachetniejsze prądy moralne, po wszystkie czasy najwewnętrzniejsza treść tajemnych wołań będzie: Spraw Panie, aby mi się dobrze działo!

Podobnéj treści była modlitwa kobiety, siedzącéj pewnego poranku 1830 r. w ławce kościoła Śgo Jana, z obliczem strapioném. W jéj brwiach lekko nachmurzonych, we łzach wydobywających się zwolna z pod nabrzmiałych powiek, czuć jakby wyrzut pełen goryczy: „Panie, Panie! czego mi się tak dobrze jak drugim nie dzieje? i pierś wzburzona doznanemi w życiu zawodami, wznosi się jakby ją rzeczywiście wielka, święta przepełniała boleść, gdy tymczasem tu się rozpiera tylko samolubstwo, bez troski o to co się daléj, na szerszéj dzieje widowni. Jest to znana nam panna Róża obchodząca we łzach trzydziestą rocznicę panieństwa swego. Jakże śmieszne i pogardy godne wydawały się wtedy troski tego rodzaju!..... lecz Róża była chowana przez matkę w ciągłém przerażeniu aby ją trzydziestka nie zaskoczyła na rodzicielskim chlebie, wypadek ten więc zdawał jéj się hańbą i nieszczęściem a zatém pochłaniał całą jéj istotę. Jak się tu ludziom pokazywać bez miana mężatki?... zdawało jéj się że ma płonącemi zgłoski wypiętnowaną na czole fatalną liczbę 30. Długo modliła się błagając o siłę do znoszenia cierpliwie téj winy nie swojéj, nareście wynalazła na ten występek wybieg na który zarówno najwięksi rachują zbrodniarze: „Nikt się tego nie domyśli patrząc na mnie, mówiła, ja jeszcze tak dobrze wyglądam!“ Teraz tedy podwójnie uczuwszy konieczność uspokojenia się, wypogodziła oblicze z tym stereotypowym na ustach uśmiechem, do jakiego ją zdawna wprawiono, jako mającego nadawać wdzięk pannie i wyszła na ulicę. W domu zastała list od siostry Karoliny, donoszący o urodzeniu piątego dziecka, córeczki, przyszłéj na świat po czterech już żyjących synach. Donoszono też że matka jest niezmiernie uradowana. Czytając to Rózia uśmiechnęła się szyderczo.

—Cieszy się z urodzenia córki dla któréj nié ma posagu! Raczéj powinna sobie z góry powiedzieć, że nie dla téj biedaczki, życia uciechy, nie dla niéj uczucia, jedyny zaś tylko chleb miłosierdzia.

Gdy, jak widzimy, panna Róża żywi same gorzkie usposobienia duszy, Karolina tymczasem jest szczęśliwą. W domu jéj nigdy nie było wykwintów, ale zawsze dostatek skromny, co zaś najlepsze — była zgoda i pokój, a wzajemny szacunek i przywiązanie łączył ją z dozgonnym życia towarzyszem. Nie pora tu rozpisywać się o sprawiedliwości lub niesprawiedliwości losu, który pozornie przynajmniéj, tak nierównie dwie siostry podzielił, nie rozwodzić się téż nam szeroko, czy Róża nie odrzuciłaby z lekceważeniem téj miary doli,

— Stara panna na matkę chrzestną dziewczynie, mówiła, wierz mi, to wygląda na fatalne proroctwo.

W duchu zaś przypominała sobie ze skruchą jak niegdyś śmieszyły ją wspomnienia miłosne Asi, ona zaś teraz jakby ją za karę dotknął palec Boży, daleko więcéj gorzkich zawodów dostała w podziale.

Tymczasem Asia, która miała sposobność pokochać Karolinę, mieszkającą niedaleko i odwiedzającą starościnę kilka razy do roku, wyjechała z radością po ośmnastoletniém



Mam jakieś dobre o téj dziewczynce przeczucie.

która przez Karolinę była przyjętą jako wielkie Niebios ubłogosławienie; my tylko jesteśmy prostemi opowiadaczami dziejów jednéj rodziny, czyli raczéj trzech jéj żeńskich członków, należących do trzech następujących po sobie generacji, których właśnie na Święta Bożego Narodzenia wyż wspomnianego roku, zgromadzonych w komplecie u Karoliny widzimy. Przy kolebce niedawno urodzonéj Helenki spotkały się jéj ciotka Rózia i babka cioteczna Agnieszka, przybyła z Rożkowa żeby ją do chrztu trzymać, chociaż Róża przestrzegała siostrę że to jest dla przyszłéj doli dziecięcia złowróżbne.

nie ruszaniu się z Rożkowa, na chrzciny jéj pierwszéj córki. Przyniosła jéj dary w błogie następstwa płodne: błogosławieństwo i gorącą modlitwę swéj czystéj duszy i podczas kiedy po dopełnieniu Śgo obrządku panna Róża strojna i wykrygowana pochyliła się nad kolebką dzieciny, snując dla niéj wcale niepomyślny horoskop, według cierpkiego swéj myśli nastroju, Agnieszka przeżegnała ją krzyżem z relikwjami, drogą po swéj matce pamiątką i wznosząc w górę błagalne spojrzenie, Bogu ją poleciła. Potém zwracając się do przypatrujących się im obojga rodziców rzekła:

— Mam jakieś dobre o téj dziewczynce przeczucie. Uważaliście jakie duże i wesołe oczy otwierała na nas wszystkich podczas chrztu Śgo? Znać że kiedyś jak dorośnie, śmiało spojrzy w życie i nieulęknie się cierniów jego. Jeżeli jeszcze wychowacie ją, tak jak to nieraz słyszałam z ust waszych że kobieta być powinna, to jest nadzieja że sobie lepszą radę da na świecie, niż jéj matka chrzestna, dodała z uśmiechem.

— Byle tylko tak zacne jak ona miała serce, odpowiedziała Karolina całując ręce ciotki.

Pułkownikowa nie chciała trzymać do chrztu swéj wnuczki, mówiąc upornie, że mogłaby jéj tylko nieszczęście przynieść w darze, zrobiła się bowiem nad podziw cierpką i wszystko w czarnych widzącą barwach, skoro się jéj niepowiodło dobrze wydać za mąż ulubioną córkę.

— I tybyś była mogła pójść lepiéj, mówiła czasem Karolinie.

— Moja mamo, kiedy ja znajduję żem bardzo dobrze poszła.

— Zawsze nie tak jak panna S. lub panna Z.... czy one ciebie warte, a jednak teraz rozpierają się w pałacach i mają dużo pieniędzy, kiedy ty...

— Kiedy ja mam dużo szczęścia, lubo w małym domku, podchwytywała Karolina i Bogu za nie dziękuję.

— A Róża, biedna Róża!....

— Róża — powtórzyła Karolina nie śmiejąc matce wyznać tego co myślała, że Róża patrzała zbyt wysoko, a głównie że chciała nasycić próżność nie serce. Tymczasem zaś stan majątkowy ich ojca, nakazywał im wielką oszczędność. Hulało się gdy były znaczne dochody i zjadło się wszystko nieopatrznie. Pozostała tylko smutna ostateczność, liczenia na spadek po starościnie która żyła jeszcze, mimo nadzwyczaj posuniętego wieku. Ludzie nierządni zwykle liczą zawsze na coś, na kogoś, tylko nigdy na swoją pracę, dla tego też pułkownikowa dobra z resztą kobieta przyszła jednak do tego, że mimowolnie tajemna jakaś niecierpliwość ją brała, na myśl o testamencie starościny. Pułkownik który w pożyciu domowém wielką odznaczał się łagodnością, teraz umiał przestawać na małém. Mieszkając w Walnéj, razem z córką i zięciem, niczém im się nie naprzykrzył, przechadzka z wnukami, partja wista wieczorem, wypełniały mu dnie; w jego rezygnacji była godność, która mu jednała ludzkie poważanie. Takie więc były usposobienia rodziny, wśród któréj przyszła na świat Helenka, z któréj miała prawdopodobnie wkrótce ustąpić starościna. Zbliżała się bowiem do lat stu wieku, który jest nie częstém między ludźmi zjawiskiem i lubo jeszcze używając wszystkich zmysłów, wpadła w jakiś rodzaj obojętności i odrętwienia będących niby początkiem końca. Przestało ją najprzód obchodzić to co się działo u sąsiadów, lubo dawniéj tak lubiła mieszać się do ich spraw, nawet domowych, potém już nie pytała się co się dzieje w jéj własném gospodarstwie, a tylko siedząc w wysokiém krześle, spoglądała na Bufki i Uryki u jéj nóg drzémiące; wyrażenia jéj były łagodniejsze, objawiało się w niéj pewne niedołęztwo woli, jednakże Asia zostawszy zaproszoną na chrzciny, długo nie wiedziała jak to powiedzieć ciotuni. Zdawało jéj się że będzie ofukniętą, że usłyszy znajome zdawna zdanie: „Kobiety i koty powinny siedzieć w domu, siedź waćpanna kiedy ci dobrze“ starościna bowiem nie lubiła, żeby ją opuszczały osoby ją otaczające, to drażniło niewymownie jéj nawyknienia; jak tu cały tydzień nie widzieć twarzy, na którą się codzień patrzeć zwykło, być pozbawioną usług osoby, którą nie łatwo inna nauczy się zastąpić. Więc stanowczo, kto był przy staruszce, musiał jéj nieodstępować pod groźbą długich dąsów i niełaski, dla tego téż Asi serce mocno biło i głos drżał, gdy zaledwie dosłyszanym głosem wyjąkała swą prośbę.

— Hę? co waćpanna chcesz? zapytała podnosząc głowę starościna.

— Chciałabym pojechać do Karolci na chrzciny.

— Jakie chrzciny?

— Córeczki Karolci, téj co się teraz urodziła.

— Urodziła się? — nie wiedziałam.

Starościna jeszcze rano mówiła o tych urodzinach, o których teraz zapomniała. Na nowe o nich opowiadanie Asi, kiwnęła

głową i spuściła ją, patrząc osłupiałym wzrokiem w jakiś punkt oddalony, jakby goniła za zgubioną pamięcią.

— Chciałabym jechać do Karolci, powtórzyła natarczywiéj Agnieszka, wrócę we Czwartek.

—Wrócisz we Czwartek? chwała Bogu! rzekła lękliwie wpatrując się w nią staruszka.

Widocznie słabła. Nie miała już siły woli żądać żeby ją nie opuszczano, lecz na samo przypuszczenie tego truchlała. Agnieszka ucałowała jéj obie ręce i odeszła miotana dwoma sprzecznemi wrażeniami: radości, że zobaczy Karolinę i smutkiem, z odmiany usposobienia starościny, w którém tak widocznym był schyłek jéj władz moralnych.

— Boska to tajemnica, szepnęła do siebie wzdychając, ale jéjmość nie długo pociągnie.

Tymczasem jéjmość zaczęła obliczać dnie na palcach, szepcząc do siebie, potém zbudziła będącą w tym samym pokoju dziewczynę od piesków, jednę z tych istot bezmyślnych, które zasypiają rade w każdym kąciku i przy każdéj sposobności i rzekła do niéj poważnie:

— Słyszałaś Marcysiu! panna wróci we Czwartek.

Na co Marcysia spojrzawszy zazdrosnie na Bufki i Uryki, których to szczęśllwców nikt budzić nie śmiał, mruknęła dość grubijańsko i poprawiając się zasnęła znowu w lubém przekonaniu, że już minęły czasy, kiedy jéjmość mogła się zerwać i dać jéj za lenistwo potężnego w bok kułaka.

Wiemy już że Agnieszka była na chrzcinach, a gdy powróciła, według obietnicy, we Czwartek, ciotunia spojrzała na nią obojętnie, jakby jéj sobie nie przypominała. W kilka dni potém rano, gdy ubrawszy ją chciano według zwyczaju poprowadzić do krzesła, już nie mogła utrzymać się na nogach i położyć się musiała.

Przerażona Agnieszka posłała jednego posłańca po doktora, a drugiego do Walnéj z listem do pułkownikowéj i jéj córek.

Pułkownikowa długo słowa wymówić nie mogła, tak się męczyła z fizjognomją swoją, żeby jéj nadać wyraz smutku. Nareszcie wykrzywiwszy twarz jakimś grymasem, który miał być żałobny, zawołała z niezwykłą żywością:

— Koni, Sewerynie koni! niech pojadę na miłość Boską! trudno — takie prawo natury, dziewięćdziesiąt sześć lat — ona umrzéć musi, biedaczka!

Westchnęła głośno, a w jéj oczach mignęło jakby uznanie że przecież raz natura natrafiła na zagubioną, zdawało się, logikę w rozwijaniu swych praw.

Wyjazd odłożono do następnego rana i przywiązana siostrzenica przejechała szybko ośm mil od Rożkowa ją dzielących.

Poznała ją starościna, orzeźwiła się nieco i nawet wspomniała jéj coś o swém testamencie, dodając z pewnym filuternym wyrazem oczu, który ją przypomniał taką jaką była dawniéj:

— Od tych kapitałów nie biorę procentu, więc rosną jeszcze im ja dłużéj żyję.

— Bóg téż da wkrótce jeszcze lepsze zdrowie ciotuni za jéj dobroć, tylko się trzeba poradzić doktora, rzekła pułkownikowa wprowadzając nowo przybyłego.

Widok lekarza przeraził chorą. Co to jest? zapytała — czy ja już tak źle jestem?

Upewniono ją że to lekka słabość, a pułkownikowa zabrała się do czuwania przy niéj noc całą; panna Agnieszka zatém udała się do swego pokoju na spoczynek— potrzebowała go téż niezmiernie, udreptawszy się przy doglądaniu czy pamiętano o wygodach choréj i przybyłych gości, dla tego zamiast od razu uklęknąć do wieczornych pacierzy, usiadła czémprędzéj na skromném łóżku swojém, znużona i zamyślona o zaglądającéj pod ich strzechę śmierci; wspomniała na dawno już zmarłych i roztkliwiła się. Łzy pociekły po jéj zwiędłéj twarzy, a serce rwało się do tych drogich, nigdy nie zapomnianych. Wyjęła pamiątki swoje i ucałowała je; sen odbiegł od jéj powiek, lecz czuwającéj marzenia lube być musiały, bo uśmiechała się smętnie wytężając przed sobą wzrok a nie widząc otaczających ją przedmiotów, tak że świeca będąca na stoliku wypaliła się do szczętu i zwolna zagasła. Musiało od jéj przyjścia na górę upłynąć z kilka godzin, bo wszystko już dawno w starym dworze ucichło, tylko przeciągłe wycia psów po-

dwórzowych zaintonowały śpiącym mieszkańcom jakąś dziką, przerażająco żałobną litanję. Asia się wzdrygnęła i naraz wielka jasność bijąca w okno z podwórza, przykrém wrażeniem ścisnęła jéj serce. Zerwała się z siedzenia i przyłożywszy czoło do szyb okna, dojrzała z przerażeniem że strumień światła buchał z dolnych okien drugiego końca domu.

— Pożar! krzyknęła, Matko Boska ratuj! i drżąc ze wzruszenia wypadła na schody, pędząc, wiedziona przeczuciem do pokoju starościny.

Tam na wysokiém krześle przy oknie, rozpostarła się mająca niby czuwać nad chorą pułkownikowa, wzięła nawet książkę pobożną do ręki, ale wnet ją sen zmorzył, upadająca zaś na stolik książka pochyliła świecę, od któréj zajęła się firanka. Wprawdzie skoro całe okno stanęło w płomieniach ocknęła się pułkownikowa i zaczęła krzyczeć przeraźliwie, ale śpiąca w przyległym pokoju Marcysia, któréj sen wśród wzrastającéj choroby jéjmości coraz częściéj niepokojono, rada była udawać, dopókiby ją kto nie przyszedł pociągnąć za uszy, że się przebudzić nie może, nikt więc o ratunku nie myślał, dopiero gdy Agnieszka nadbiegła, ale wtedy już było za późno. Na własnych rękach wyniosła staruszkę, wołając o pomoc głosem tak energicznym jakiego się u niéj dotąd niedomyślano. Zbudzili się nakoniec słudzy; kobiety zbiwszy się w gromadkę na podwórzu głośne zawodziły płacze, przybiegł i ekonom i parobcy z gumien, ale wiadomo każdemu jak to na wsi w czasie ognia ratują i z jak przerażającą szybkością pali się stary, suchy, drewniany budynek. Nie odrazu znaleziono kubły do wody potrzebne, potém gdy kubły były, wkrótce zbrakło wody— potrzeba było drabiny, przyniesiono za krótką, a gdy zdołano wejść na dach, niezajętéj zupełnie części domu żeby ją od zniszczenia ocalić, już temu niepodołano, bo płomień buchnął na raz, ze środka, wszystkiemi oknami. Agnieszka oddawszy chorą staruszkę służebnym kobietom, sama wbiegła do domu żeby ratować co się unieść dało. Zaledwie zdołała uprowadzić pułkownikowę która straciwszy zupełnie przytomność, krzyczała tylko i załamywała ręce. Następnie Agnieszka porwała szkatułkę z pieniędzmi i papierami, wynosiła futra i szale, wbiegła do spiżarni, była wszędzie, nawet u piesków, zwołując je i wyprowadzając które się dały. Dom tymczasem stanął cały w płomieniach. Cofnęli się z niego wszyscy ratujący, dając ogniowi za wygraną, gdy w tém rozległo się ogólne wołanie: panna! gdzie panna? panna nasza została. Raptem, wstrząśnięte z rozpaczném wysileniem, zabrzęczały szyby u jednego z niezniszczonych jeszcze okien i ukazała się postać Agnieszki, na jaskrawém tle buchającego po za nią ognia. Była trupio blada, z odzieżą w nieładzie, wyciągała ręce o pomoc błagając. W oka mgnieniu poskoczyło ku niéj kilku wiejskich parobków i zaledwie zdołali wyciągnąć omdlałą z pod walących się belek pułapu.

Skoro w okolicy dowiedziano się o spłonięciu Rożkowskiego dworu, wszyscy użalali się nad starościną, sądząc że ją to dobije, tymczasem staruszka w ciągłém odrętwieniu i niedołęztwie, pociągnęła jeszcze miesięcy sześć, umarła zaś Asia.

Poparzona na całém ciele, uderzona głownią, która się oderwała od pułapu, Agnieszka przeżyła zaledwie tydzień w największych męczarniach. Nigdy bardziéj jak wtedy nie uwydatniła się jéj łagodność i cierpliwość, nigdy też lepiéj nie wykazało się ile miłości dobrocią swoją zeskarbiła sobie, miłości tych szczególniéj, których nędza osobista rozjątrza i czyni czułemi tylko na własny interes. Włościanie, co nie szczególnéj opieki doznawali w dobrach starościny, ukochali tę istotę słodką, niosącą im w każdym razie pomoc, opiekę, słowo pociechy, lub własną ręką przyrządzone lekarstwo. Z pięciuset złotych rocznego dochodu Agnieszki, większa połowa szła zwykle dla uboższych, jakże więc szanowną była ta jéj poblakła perkalikowa sukienka, którą nosić musiała z koniecznéj oszczędności. Gdy się wieść rozeszła, że jéj życie w niebezpieczeństwie, oficyna gdzie ją przeniesiono, była w wyraźném oblężeniu, tyle ludzi o stan jéj zdrowia się dopytywało. Nawet wesołe dziewczęta i chłopaki wsuwały się cichutko pode drzwi dopytując wychodzących co

tam słychać, a matki ich wystawały założywszy ręce, pytając jedna drugiéj: co my bez naszéj panny poczniemy?

Agnieszka tymczasem w dzień zgonu uczuła się zdrowszą. Zmniejszały bóle, sen ją pokrzepił i przebudziła się prawie z uśmiechem. Opowiedziała że jéj pan Jezus dał sny prześliczne, że widziała wszystkich swoich kochanych co już pomarli, przyzywających ją do siebie. Róża i Karolina z mężem otaczali jéj łóżko. Rozdała między nich kilka pamiątek. Dziesięć tys: zł:, cały swój kapitał przeznaczyła dla córki chrzestnéj, Helenki. Potém z pudełeczka w którém chowała kilka drobiazgów wiążących się z jéj serdecznemi wspomnieniami, wyjęła trzysta złotych przeznaczone na pogrzeb i oddała je Sewerynowi, polecając żeby ją w najprostszéj pochowano trumnie, sobie zaś położyła na piersiach krzyż z relikwjami, wiadomy szmat bielizny pożółkłéj i pokrwawionéj wzięła do ręki i to mu się przypatrując, to się modląc, Bogu ducha oddała.

— Szczęśliwa! już skończyła — odezwała się Róża roniąc łzę na jéj skostniałe ręce, które swojemi objęła. Nie każdemu dano jest mieć tyle wiary, nadziei i spokoju przy śmierci.—Teraz dopiero stanęła przed jéj oczami zmarła, w całéj, tak jasnéj piękności swych cnót cichych.

W pół roku potém odbył się pogrzeb starościny, nieskończenie wspaniałéj, ale też i daleko chłodniéj. Nikt łzy nie uronił, a interesowani gonili myślą za testamentem, na którego otwarcie przyjechał synowiec starosty. On też został dziedzicem całego majątku ziemskiego, pochodzącego od stryja, kapitały zaś pokazały się nie tak wielkie jak sądzono, co sprawiło wiele nieukontentowania. Pułkownikowa dostała z nich sto pięćdziesiąt tysięcy, które w pierwszych chwilach doznanego zawodu nazwała drobiazgiem nie wartym żeby się po niego schylić; późniéj jednak przekonała się że to wcale niezgorszy kawałek chleba zwłaszcza dla nich, którym dochody zupełnie upadły. Ukartowała więc sobie różne na podstawie tego kapitału planiki i nie mogąc namówić męża, który wolał na wsi z dziećmi pozostać, sama z Różą wyjechała do Warszawy na mieszkanie, gdzie nie zaniedbała opowiadać znajomym o spadłéj na siebie sukcessji, nadmieniać jakby z niechcenia o krociach, tak że panna Róża pokazała się znowu w towarzystwach, opromieniona świeżą aureolą niezawodnego posagu. Znaleziono że jest zawsze miła i ładna i chyba tylko jaka złośliwa kumoszka szepnęła cichaczem do drugiéj, że ta piękna panienka ma dobrze trzydzieści lat z górą.

Był to czas gdzie wszyscy młodzi mężczyzni rzucali się do gospodarstwa rolnego, brak kapitałów czuć się dawał, a żona z posagiem było rzeczą nadzwyczaj pożądaną. Zaczęli się też kręcić koło panny Róży wielbiciele. Był tam jeden którego z zacności wielce chwalono, ale że był cichy i nieśmiały nie podobał się pułkownikowéj. Ją zawsze pociągała wystawność, eleganckie uobyczajenie, świetna wymowa i śmiałość, słowem ten blichtr co bardzo często okrywa wielką nicość duszy i umysłu; to też pan Juliusz K. popadł jéj w oko przed wszystkiemi, tak był nadskakujący, układny, czuły. Przytém z pańska lekceważący ludzi, a mówiący ciągle o swoich koligacjach, o dobrach na Wołyniu i spodziewaném po stryju dziedzictwie, co wszystko tak podbiło serce pułkownikowéj, że gdy jéj się o córkę oświadczył o mało mu się na szyję z radości nie rzuciła. Panna Róża przyjęła go nieco chłodniéj; wprawdzie rumieniec zadowalenia wystąpił na jéj lica, bo to był nareście mąż, pozycja społeczna, zakończenie prawidłowe światowéj karjery, ale na miłość dla niego już ją stać nie było, czy może też czuła mimowolnie że nie warto.

Rozpisano listy do krewnych i przyjaciół, naznaczono dzień ślubu i rozpoczęto przygotowania do świetnéj wyprawy. Pułkownikowa nie posiadała się z radości; narzeczony coraz bardziéj zyskiwał w jéj oczach. Pokazywał się hojnym więc był bogatym, nadskakiwał pannie więc i dla żony będzie jak najlepszym, opisała go też w jak najkorzystniejszych barwach mężowi i Karolinie. Skoro się rodzina na ślub zjechała uradzono żeby dać Róży zaraz po ślubie pięćdziesiąt tysięcy złp. tytułem posagu; była to największa ofiara jaką obecnie mogli zrobić rodzice, sądzili więc że będzie wdzię-

cznie przyjęta. Jakież było ich zadziwienie gdy przy intercyzie pan młody odezwał się cierpko i dumnie:

— Ta summa dla mnie za mała. Ja potrzebuję przynajmniéj sto tysięcy złp. w téj chwili.

— My zaś nie możemy dać teraz tyle, odparł ojciec.

— To szczególna!.. a po cóż mnie durzono nadzieją kroci6w...

— Nikt pana nie durzył, zawołała ze wzburzeniem pnłkownikowa. Czy pan możesz powiedzieć żeś odemnie słyszał coś podobnego?...

Nastąpiła chwila przykrego milczenia. Narzeczony patrzał przed siebie ponuro i frasobliwie, reszta przytomnych popuszczała głowy jakby wstydząc się tego targu który najdelikatniejsze obrażał uczucia, strona zaś interesowana w téj sprawie, panna młoda, zbladła straszliwie i zdrętwiała jakby ją nagle z miłego snu zbudzono. Toż to ten Juliusz który jéj najdrobniejsze życzenia zgadywał, który twierdził że bez jéj widoku żyć nie może, że najprzykrzejszą dolę z nią podzielić gotów, a jeszcze się będzie czuł szczęśliwym...... Róża pod ciosem tego nagłego rozczarowania pozostała nieruchoma jakby z razu pojąć nie mogła, co się w koło niéj działo.

Tymczasem pułkownik odezwał się poważnym i surowym głosem:

— Cóż tedy zrobimy w tych trndnych dla obydwóch stron okolicznościach?,.. Co do mnie deklaruję się najdaléj za lat trzy, skoro odbiorę od moich dłużników pieniądze, dodać jeszcze do posagu córki mojéj złp. trzydzieści tysięcy.

— Kiedy ja zaraz potrzebuję sto tysięcy, inaczéj kwita z małżeństwa! rzekł Juliusz powstając.

Róża wydała bolesny jęk, a Karolina zerwawszy się z krzesła podbiegła ku mężowi ściskając jego ręce i szepcząc mu coś na ucho. Seweryn kiwnął głową przyzwalająco i odezwał się w te słowa:

— Rodzice dali nam teraz na podźwignienie gospodarstwa trzydzieści tysięcy— my chętnie dodajemy je Róży do posagu, a możemy późniéj wziąść te, które ojciec dla niéj przeznacza.

— Co robisz Sewerynie?.. przerwał pułkownik.

— Nic to — odparł tenże, chociażby to było nawet ofiarą, nie będzie nas kosztować dla szczęścia Róży....

—Szczęścia! szepnęła Róża. Miły Boże!..

Na to wszystko rzekł Juliusz oschle:

— Tego jeszcze za mało — mnie trzeba stu tysięcy koniecznie i zaraz, inaczéj powtarzam z żalem że....

— To idź ich pan gdzie indziéj szukać, wybuchnęła głosem oburzenia pełnym Róża powstając i wynoś się co prędzéj z tego domu, któryś zbyt długo kalał swoją obłudą.

— Różo, Różo! uspokój się! wołała pułkownikowa przybiegając do niéj.

— Jestem spokojna — ale widzi mama, dodała z szyderstwem pełném goryczy, że nie mamy za co kupić tego pana i niech Bogu będzie chwała! bośmy mieli sposobność się przekonać że to towar nikczemny.,..

— Masz słuszność Różo, dołożył pułkownik powstając także, nikczemny jest mężczyzna, który robi z małżeństwa jedynie spekulację i nie róbmy mu miejsca w uczciwéj rodzinie naszéj. Żegnamy Pana.

To mówiąc wskazał rozkazująco na drzwi.

— Mężu, mężu! jęknęła z cicha żona, która traciła uczucie godności na myśl żeby córka nie została starą panną.

Po wytartém czole pana Juliusza przebiegła nareszcie chmurka zawstydzenia, domyślił się jednak że nié ma rady i że trzeba się wynosić. Zbladły, sunął kłaniając się ku drzwiom i bąkając jakieś niezrozumiałe wymówki. Gdy się drzwi za nim zamknęły, pułkownik zbliżył się do córki i całując ją w czoło wyrzekł:

— Moja Różo, podziękuj Bogu że cię od wielkiego uchronił nieszczęścia. Wierz mi, że nie wart ciebie ten uperfumowany gagatek i przeklinałabyś późniéj chwilę w której los cię z nim na zawsze połączył.

— Biédne dziecię! dodała matka płacząc, już ci widać nie sądzono pójść za mąż.

— Alboż to jéj u nas zbraknie chleba? powiedział jeszcze ojciec, a Róża skłoniła się rozszlochana do kolan rodzicielskich,

tuląc w ich objęciach bolesć swoją i upokorzenie. Trzeciego dnia potém cała rodzina na wieś wyjechała, żeby się ukryć przed ciekawością i komentarzami swych warszawskich znajomych. W Walnéj upływało im cicho dalsze życie. Pułkownikostwo mieli niby to kupić sobie wioskę ale jak się obrachowali, że mąż gospodarować nie potrafi, a żona nie zechce, woleli żyć z kapitału przy córce i zięciu, których delikatność i przywiązanie już mieli sposobność wypróbować. Stanął tedy w Walnéj osobny dla nich dworek, w którym panna Róża dostała najśliczniejszy pokój. Sprzątanie też jego i upięknienie, było jéj jedyném zajęciem. Ani czytać, ani szyć nie lubiła, nie chciała się niczego dotykać, żeby nie nadwerężyć świeżości i białości swych rączek; wprawdzie rzadko kto mógł wielbić te ich przymioty, gdyż były zawsze chronione przez smarowane czemciś wewnątrz rękawiczki. Z tego więc zakonserwowania ich piękności więcéj było złéj woni niż wdzięku, ale mniejsza o to kiedy w nich kochała się panna Róża, równie jak i w swych nóżkach, dla pokazania których zawsze nosiła suknię krótką wtedy nawet, kiedy już dłuższe wchodzić w modę zaczynały. Lubiła się gorsować, tak jak do tego nawykły światowe kobiety i sznurowała z wielką pretensją od samego rana, coraz bardziéj rozrastające się ciało. Mało kto jednak mógł podziwiać powaby jéj kibici, bo Walna nie obfitowała w sąsiedztwa; właściciele jéj żyli cicho, pilnując gospodarstwa i zajmując się gorliwie dobrém wychowaniem dzieci. Róża nudziła się w swém osamotnieniu, pragnęła gości, lecz prawie zawsze przy nich była nachmurzona i w kwaśnym humorze, bo na każdym kroku zdawało jéj się widzieć upokorzenie lub obrazę. Za nic w świecie nie byłaby usiadła na kanapie, którą uważała za miejsce wysoce uprzywilejowane, przeznaczone jedynie dla wyżéj stojących w hierarchji kobiecéj mężatek, przed żadną także mężatką nie byłaby pierwéj we drzwi weszła, ale gdy przed jéj nieskończonemi ceremonjami ustąpiono, gdy usiadła na krzesełku, lub weszła ostatnia za daleko młodszemi od siebie kobietami, czuła się upokorzoną w swéj miłości własnéj, oburzała się skrycie na niesprawiedliwość losu, czego jest ostatnią kiedy mogłaby być pierwszą i w swém rozjątrzeniu poniewierała siebie biedaczka, zapomnieniem, że i człowiek przecie coś znaczy sam przez się i że do samych kobiet należy umieć wziąść tę pozycję w społeczeństwie, jaką im od razu gotową przynosi czepek. Jeżeli kobieta bezmężna stawia się na drugiém miejscu po zamężnéj, to w mniemaniu, że jest istotą tak doskonale bierną, tak nic nie znaczącą, że nawet po usunięciu jéj z widowni świata nicby nikt nie stracił. Trutniem w ulu być się nie godzi i takich nie znoszą nie tylko pszczole ale i ludzkie społeczeństwa. Tu leży w części tajemnica lekceważenia starych panien, a razem i głęboka dla ogółu kobiet nauka: Bądź człowiekiem rzeczywistéj moralnéj wartości, nie zaś lalką ogładną nie mającą znaczenia jeżeli jéj nikt nie kupi, a potrafisz zająć miejsce jakie ci przynależy.“

Lecz wróćmy do Róży która stworzyła sobie życie męczarni pełne, bo składające się z tysiąca drobnych ukłuć szpilkowych od ludzi, co się sami tego po większéj części nie domyślali, ze wzrastającéj od otrzymanych pocisków zawiści i goryczy, które się w jéj charakter niezliczoném mnóstwem przywar wszczepiły. I tak, co było u młodéj Róży miłym dowcipem, a starzejącéj zmieniło się na bezlitosne szyderstwo, na pastwienie się okrutne szczególniéj na kobietach, skoro te jakiéjkolwiek naganie podpaść mogły. Tak uporczywie stanęła na swych wspomnieniach z czasu koronacji, że w dziesięć i piętnaście lat potém w niczém nawyknień swoich odmienić nie chciała, nie stosując się ani do życia wiejskiego, ani do okolicy w której mieszkała obecnie i mając się mimo wszystkich za ową młodą panienkę, która powinna raz w raz rumienić się skromnie i nie domyślać się niczego, tego nawet, co wié najlepiéj. Choć cierpiała że jéj panieństwo pozostawiają na tak bierném stanowisku, za nic w świecie nie byłaby wyszła z granic téj bierności i chociaż widziała jak młodsze od niéj panny dawały sobie same radę, załatwiały interesa lub podróżowały, wolała to potępić z oburzeniem, które zdradzało utajone zazdrostki względem

śmiałków, niż nadać własnemu życiu tę cechę przyzwoitéj, bo na jawności opartéj swobody, która jego gorycze znośniejszemi czyni. Gdy jéj przedstawiano że po dzisiejszéj kobiecie opinja wymaga żeby się stróżowała sama religją, obyczajem, głęboko wszczepionemi zasadami rozumnéj moralności — przyznawała słuszność tym dowodzeniom, jednak nie zatracalnym nałogiem lubiła się zawsze trzymać drugiéj spódniczki. Jeżeli zechcemy wstąpić do samych głębin jéj osobistych, a może nawet przed samą sobą nie przyznanych pobudek, dostrzeżemy że się łudziła wydać młodszą za pomocą tych naiwności i trwożliwego niedołęztwa. Niestety! czyż nie widzimy pełno kobiet poddających kark powolny pod jarzmo różnych drobnych konwenansów które im ciężą, poddających się jedynie tylko dla tego, aby sobie odkraść jakie lat parę w oczach ogółu, który zwykle mniema, że tylko tak starą kobietę można puszczać samą na którą już nikt nie spojrzy. Czyż nam się śmiać z tego bezwarunkowo, czy raczéj okiem bezstronnego badacza dopatrzeć, że męzka część społeczeństwa czyni taką kobietę ceniąc w niéj przedewszystkiém świeżość ciała i prawie o nic więcéj jak o piękność i młodość jéj niepytając, trzeba więc kobiecie pewnéj siły, pewnéj wyższości umysłowéj, żeby wbrew głosem, które w około siebie od dzieciństwa słyszy, postawiła na pierwszym planie przed powierzchownością, kształcenie serca i umysłu i przyjęła starzenia się konieczność z godnością i pokojem zwłaszcza wtedy, kiedy jéj brak zajęcia domem i dziećmi nie daje tego ukojenia.

Czy Róża żywiła jeszcze nadzieję pójścia za mąż, czy się nie odstręczyła od związków małżeńskich po dwóch próbach tak niefortunnych, powiedzieć trudno, to tylko wiemy że ta jéj płochliwość czterdziestoletnia szczególnie niecierpliwiła nauczyciela jéj siostrzeńców, pięćdziesięcioletniego kawalera pana Djonizego T... który gdzie jeno mógł wszędzie wprowadzał alluzje do róż przekwitłych, które woń i wdzięk straciły, a zachowały kolce. Rzecz uwagi godna, że zwykle celibatory różnego wieku, których los pod jednym umieścił dachem jeżeli się nie pokochają, to się pewno znienawidzą. Że zaś Róża była zbyt wykwintna, aby się rozkochać w zatabaczonym nauczycielu, a Djonizy za nadto racjonalny aby sobie upodobać osobę ceniącą przedewszystkiém pozory, nie lubili się tedy. Należy téż wiedzieć że p. Djonizy miał nie błahe powody niechęci do p. Roży. Został on raz sam z wychowańcami swemi podczas kiedy ich rodzice wraz z pułkownikostwem pojechali na dni kilka dla interesów do miasta gubernjalnego. Pewnego ranka niedzielnego, Różę przechadzającą się po ogrodzie, doleciały krzyki z dziecinnego pokoju. Najstarszy chłopczyk Kazio wybiegł przerażony wołając: Ciociu chodź prędko! coś się stało panu Djonizemu — upadł! nie wstaje.

Róża zaczęła biedz, lecz w połowie drogi wstrzymuje ją myśl: czy wypada żeby panna wchodziła do pokoju kawalera? może chory nié ma chustki na szyi, może nawet jest w szlafroku, lub o zgrozo! w saméj tylko bieliznie. Jednak ratować trzeba. Zaczyna więc przeraźliwie wtorować krzykom dzieci i biega w różne strony wywołując imiona wszystkich służących męzkich i żeńskich. Lecz w Niedzielę rano i jeszcze pod nieobecność państwa chętnie rozbiega się służba. Ten się goli, tamta z podwojoném staraniem trefi do kościoła warkocze, więc długo p. Djonizy leżał zemdlony, a p. Róża krzyczała, zanim się zjawiła garderobiana Magdusia. Panna posłała ją coprędzéj do kawalerskiego pokoju z wódką kolońską, znajdując zapewnie, że uboga służąca nié ma prawa być tak skromną jak ona.

Nie było to jednak zwyczajne zemdlenie i pokazała się potrzeba doktora. Panna Róża kazała wprawdzie wyprawić po niego konie, lecz w ciągu całéj choroby nauczyciela nie zajrzała do niego, okazała się obojętną i chłodną, co porównane z pełném serdecznéj troskliwości obejściem jéj siostry, niechętne dla niéj wrażenie pozostawiło w umyśle Djonizego i wyrodziło dość cierpkie między niemi stosunki, które nie mało nabawiło kłopotu Karolinę i jéj męża, nie chcących ani się siostrze narazić, ani téż pozbawić dzieci światłego i troskliwego nauczyciela. Pan Djonizy bowiem jak najlepiéj prowadził chłopczy-

ków i zasługiwał na przyjaźń i wdzięczność rodziców. Sam nadzwyczaj systematyczny uczył ich szanować obowiązki, porządnym nauk wykładem wprawiał ich do wczesnego zastanawiania się nad tém co ich otaczało. Ład téż i karność między uczniami była wzorowa, humor zaś pogodny, niezamącony temi tak częstemi w edukacji domowéj kaprysami, ich nagrodą. Lecz osłodą i wdziękiem największym pedagogicznego żywota p. Djonizego była mała Helenka, która bardzo wcześnie zapragnęła naśladować braci i przychodziła z książeczką usiąść obok nich cichuteńko. Jéj lśniące szafirowe oczy, zwracające się bez przestanku z wymowną ciekawością i podziwieniem na nauczyciela, wywierały na niego wpływ szczególnie ożywczy. Poczuł się przeznaczony do wprowadzenia téj budzącéj się do życia duszy, w świat zdrowych pojęć, jaki otwiera porządnie od początku prowadzona nauka. Poprosił matki żeby mu zostawiła na jakiś czas kierunek jéj edukacji, dodając że umywa ręce od języków i muzyki. Grać miała jéj uczyć matka ale od téj systematycznéj (jak się wyrażał) straty czasu, wyprosił ją wkrótce ojciec, dostrzegłszy że dziewczynka nié ma najmniejszych w tym kierunku zdolności, a każda lekcja oblewana jéj obfitemi łzami, mogła być w końcu opłaconą zdrowiem przez matkę i córkę.—Mój Boże! mówiła gdérliwie Róża, cóż to za panna z niéj wyrośnie, co nie będzie umiała ani zagrać, ani zaśpiewać! Lepiéj żeby wprawiała palce gammami na fortepianie, niż bazgrała papier temi nieskończonemi rachunkami, które, nie pojmuję na co jéj się przydać mogą. Czy macie zamiar zrobić z niéj buchaltera?.... Chcecie chyba żeby nigdy za mąż nie poszła?..—Słuchając tych uwag Karolina spuszczała oczy, a Seweryn przygryzał wargi tłumiąc uśmiech mimowolny, bo przypominał sobie, że Róża najprostszego dodawania nie zrobiła bez zmyłki, a przeciwnie już zużyła gardło od dość nędznego śpiewu, co jéj jednak dozgonnego nie zapewniło przyjaciela. Gdy zaś raz ciotka w sposób nużący zaczęła się rozgadywać o złém wychowaniu Helenki, narzekać na tę nieznośną arytmetykę, którą stary pedant dziewczynkę na przemiany z historją bezustanku karmi, nie mógł już powstrzymać się Seweryn i rzekł:

— Moja kochana siostro, chciéj zostawić rodzicom zupełne ich dzieckiem pokierowanie i zastanów się czyby tobie samej, szczególnie według twych wyobrażeń, nie było dziś lepiéj, gdyby wasza matka biegléj rachować umiała za tych świetnych czasów kiedyście to po naszym ślubie, żyły coraz to huczniéj w Warszawie, wydając każdego roku więcéj niż wskazywała cyfra dochodów. A doprawdy byłoby było i oszczędzić z czego na późniejsze czasy i dziś jeszcze za to jakiego *porządnego* obywatela na męża kupić.

— Kupić! zakrzyczała zrywając się Róża. Wszakżeś widział żem nie chciała kupionego? Wszak pamiętasz żem była piękną, piękniejszą od twojéj żony, wołała wychodząc zadąsana, a potoki łez oblewały twarz jéj całą.

— Piękniejszą od mojéj żony, szepnął Seweryn całując swoją Karolinę, tego nigdy nie pamiętałem.

— Tak było w istocie, odpowiadała mu poczciwa żona, tylko Róża nie miała szczęścia napotkać drugiego Seweryna. A teraz tak tetryczeje, że aż przykro patrzeć, bo cóż ona temu winna, mój Boże!

—Winna, odparł Seweryn, winna w tém że jest próżniak. Niech się czém pożyteczném zajmie gorliwie, niech nareście raczéj hoduje pszczoły lub jedwabniki, niż końce palców swoich, które pocałować już się nawet stary Djonizy nie pokusi, tak przesiąkły temi olejkami, co już z dawna pachnącemi być zapomniały.

Róża tymczasem zamykała się u siebie, na drugi dzień nie szła na obiad do dużego dworu, robiła stałe postanowienie nic a nic się nie mieszać do dzieci siostry, postanowienie które zaledwie trzy dni ostać się mogło przed jéj wścibstwem z próżnowania wynikłém. Znów więc szła do siostry i jak najserdeczniéj od niéj przyjęta, rozpytywała dzieci czego się uczyły, co robiły, gdzie chodziły na przechadzkę, co słysząc Djonizy, aż czerwieniał z niecierpliwości i gdzie tylko mógł bez obrażenia państwa Sewerynostwa, zaraz palnął pod adresem cioci przycinek.

Róża narzekała nie raz przed rodzicami ale to się na nic nie zdało, bo pułkownik przepadał za starszą córką, za zięciem i ich dziećmi i znajdował że wszystko tam doskonałe, a pułkownikowa ciągle zapadała na zdrowiu i była przedewszystkiém sobą zajęta, twierdziła przytém że szczebiot dzieci ją nuży i rzadko widywała je, czasem jednak westchnęła nad utyskiwaniem Róży mówiąc z uwielbieniem dla swojéj własnéj doskonałości:

— Pamiętasz moje dziecię, jak to ja was chowałam!

Szczególniéj téż akcent francuzki dzieci Karoliny dawał jéj siostrze trosk nie mało. Według jéj mniemań dobre wymawianie francuzkie było nieomylną cechą porządnego człowieka, jakże więc dbała żeby jéj siostrzeńcy mieli *piękny akcent*, jak się spierała z panem Djonizym, który dowodził że to rzecz drugorzędna, że język obcy należy uważać tylko jak klucz do umiejętności, a nie ubiegać się o nadzwyczajne w nim udoskonalenie, które często tylko kosztem ojczystego się zdobywa. Obie strony rozchodziły się jak zwykle nieprzekonane, a Róża chwytała każdą sposobność żeby kazać mówić siostrzeńcom po francuzku i poprawiać ich. Poznały wkrótce to jéj upodobanie dzieci i stosowały się do niego zwłaszcza gdy rozdawała jakie łakocie, lub zastępowała matkę przy podwieczorku.

— *Des fraises, des framboises* wołały. *Que j'aime les gateaux!*

— *Demandez mes enfans*, odpowiadała na to ciotka z promiennóm obliczem, gdyż dźwięki francuzkiéj mowy uosobiały dla niéj najdroższe młodości wspomnienia. *Demandez bien poliment: je vous prie chère et bonne tante.*

— *Chère tante*, powtarzały skrócając dzieci żądne dosięgnąć jak najspieszniéj celu.

— *Chère et bonne*, poprawiała ciocia dbała szczególniéj o ten ostatni przymiotnik.

— *Chère et bonne tante donnez*, jęczały już błagalnie dzieci wyciągając ręce, w które wspaniała ciocia wsuwała kolejno przeznaczoną porcję. Pan Djonizy nigdy wtedy nie zasiadł przy stole, jak to inaczéj miał we zwyczaju, tylko chodził w około twierdząc że nié ma apetytu, zażywał tabakę jakby na złość, kichał tak głośno że ciocia za każdym razem krzyknęła: och! i powtarzał ciągle:

— No, daléj chłopcy! jeść co Bóg dał i marsz! na przechadzkę.

Chłopcy też po francuzkich podziękowaniach wymykali się wkrótce za nauczycielem, który się oglądał z boleścią że nie może już wyrwać Helenki ze szpon cioci, zabierającéj się wtedy zwykle do uczenia jéj francuzkich deklamacji. Szczęściem że Róża za nadto była leniwą, żeby to nauczanie przeprowadzić wytrwale, wkrótce więc dziewczynka wybiegała za braćmi, a nauczyciel całował ją z ojcowskiém nczuciem, szepcząc do siebie: — O! ty nie dościgniesz może doskonałości takiego akcentu, ale będziesz miała ład w głowie i pracę w zamiłowaniu.

Była nadto jedna rzecz, o którą Róża jeszcze więcéj, jeżeli można, jak o francuzkie wymawianie się troszczyła, a tą były tak zwane *maniery*. Helenkę zamęczała ciągłém mustrowaniem, układaniem sztucznóm jéj postaci, głosu, ruchu każdego.

— Cóż warta panna bez dobrych manier? mówiła i trapiła siostrę uwagami że dziewczynka od Djonizego przejmie tysiące nie eleganckich zwyczajów które nawet i chłopców szpecą, a cóż dopiero panienkę!...

— Wy bo nieuważacie, dodawała, jak on jesł *źle wychowany*, takeście się w nim zaślepili.

— Gdybyśmy byli wielkiemi panami, odpowiadał na to Seweryn, dbalibyśmy przedewszystkiém o estetyczność, ale my treść społeczeństwa, my jednostki tych mass, według wartości których, wartość narodu się mierzy, musimy przedewszystkiém uważać na to co stanowi podstawę, grunt, nie zaś na pozory mniéj więcéj powabne. Wierzę że są pedagodzy, którzy przy zacnym charakterze i gruntownéj nauce, posiadają jeszcze najwykwitniejsze formy towarzyskie, ale ich szukać nie będę, bo kto wié najprzód czy byłbym w stanie ich opłacić, kto wié czy ich sposób prowadzenia dzieci takby mi się wydał dobrym, do zamierzonego przezemnie prowadzącym celu. Żebym ja oddalał sza-

nownego, światłego nauczyciela dla tego że zbyt głośno nos uciera, lub coś podobnego, tobym się samego nazwał półgłówkiem i owszem, wszelkich dokładam starań, aby dom mój był miły poczciwemu Djonizemu, bo on mi świadczy nigdy nieopłaconą pieniędzmi przysługę — dopomaga mi do wyprowadzenia moich dzieci na pożytecznych obywateli kraju, a pełni to tak gorliwie jak możeby nie uczynił szarmancik zbyt zajęty eleganckiemi formami.

Słysząc podobne dowodzenia Róża nieco pokonana, ale niezupełnie przekonana, czyniła postanowienie czuwać przynajmniéj sama nad ułożeniem dzieci, ale jéj przestrogi było to raczéj wybryki, niż systemaczne, mogące się na co przydać, czuwanie. Czasem nic nie uważała, to znowu nie darowała niczego, perorując aż do unużenia. W lecie lubiła kierować swoje przechadzki pod okna pokoju w którym się odbywały nauki i tam podsłuchiwała różne szczególiki o których rozmyślała dzień cały, któremi się trapiła, powtarzając je z początku rodzicom, a potém je nie powtarzając, gdyż to podwajało jeszcze jéj oburzenie, że ani Karolina, ani Seweryn nie gorszyli się tém, jak według niéj należało. Nareście raz już wytrzymać nie mogła i postanowiła dać sama nauczycielowi naukę. Lecz dla zrozumienia rzeczy, musimy tu wspomnieć że Djonizy miał szczególniejsze upodobanie do sztuki kucharskiéj. Po mozolnéj pracy nauczycielskiéj, po długiém czytaniu najpoważniejszego dzieła, nie było dlań zabawki bardziéj zajmującéj, jak przyrządzanie różnych ciast do herbaty. Karolina dostarczała mu najchętniéj materjałów, bodajby one zmarnowane być miały, co jednak rzadko się zdarzało, bo Djonizy, mimo całéj swojéj uczoności, wykształcił się na niezłego pasztetnika i nawet pułkownikowa utrzymywała, że pomiędzy jego umiejętnościami ta jest najwięcéj warta. Róża tylko szydersko naśmiewała się z téj słabostki nauczyciela, choć ciasta zjadała bardzo chętnie. Jednego razu Djonizy gdzieś wyczytał w jaki sposób robią sławne francuzkie briosze i skończywszy lekcje zabrał się zaraz do masła i mąki wołając do siebie Helenki. Róża tymczasem chodziła po ogrodzie i dosłyszała przez otwarte okno Helenkę czytającą dla nauczyciela niemieckie gazety, w czém mu lepiéj dogadzała od każdego z braci, czytając wszystko choć nierozumiała, z niewieścią cierpliwością. Róża patrzy ciekawie i widzi Djonizego mieszającego ciasto rękami, a po chwili mówiącego do jéj siostrzenicy. Helenko! mój nos...

Helenka tak szanowała i kochała nauczyciela, że wstrzymała chęć do śmiechu jak gdyby wydawało jéj się naturalném żeby mu dopomogła tak jak on jéj nieraz w jéj zatrudnieniach i zabawach pomagał. Podniosła się więc, przysunęła chustkę do nosa p. Djonizego i potém usiadła aby czytać daléj. Panna Róża osłupiała i stanęła jak wryta, gdy tymczasem Djonizy który widać miał katar, a ręce ciągle w cieście, zawołał znowu po chwili: mój nos Helenko!... i znów w taki sam sposób odbyło się jego utarcie.

— Tego już za nadto, zawołała Róża i przyśpieszonym krokiem poszedłszy do swego pokoju napisała te słowa:

Mości Panie!

„Byłam mimowolnym świadkiem do jakich posług Pan używasz mojéj siostrzenicy i nie mogę się powstrzymać, aby panu nie wyrazić mego oburzenia. Pan przechodzisz granicę przyzwoitości. Czy podobna aby panienka dobrze urodzona, zamiast się zająć czemciś co bardziéj przystoi jéj płci i towarzyskiemu położeniu, czytała niemieckie gazety i ucierała zatabaczony nos nauczycielowi, mającemu raczéj powołanie na kucharza. Czy pan i w niéj także te same gusta rozwinąć pragniesz? Winnam pana przestrzedz, że takiém nie jest jéj przeznaczenie i t. d. i t. d.“ Było tam jeszcze kilkadziesiąt wierszy gadulstwa tego rodzaju, które Róża zapieczętowawszy, posłała przez Magdusię. P. Djonizy tylko co umył ręce z ciasta, przeczytawszy więc list z flegmą, odpowiedział natychmiast:

Mościa Panno!

„Racz się nie mieszać do mego nosa, a lepiéj patrz swojego. Nie wiem ak się

tam rodziła Helenka, dobrze czy źle, ale tego jestem pewny że wyrośnie na osobę pożyteczną i godną ogólnego szacunku, bynajmniéj nie podobną do tych trutniów żeńskich, które dziś zalegają społeczeństwo nasze.“

Sługa
Djonizy T...

— Trutnie żeńskie! — żeńskie trutnie! zakrzyczała, przeczytawszy odpowiedź, Róża, a kogóż on tu ma na myśli ten impertynent?... Idź Magdusiu, idź! powiedz mu że jest impertynent.

—Komu? zapytała spokojnie Magdusia sądząc że to znowu drugi jaki interes...

— A panu Djonizemu!.. Idź i powiedz zaraz. Musisz powiedzieć, bo idę za tobą i będę podsłuchiwała czy powiesz.

Magdusia poszła i czując prawie za plecami pannę, która rzeczywiście pod drzwiami stanęła, rzekła tłumiąc uśmiech figlarny:

— Panna Róża kazała panu powiedzieć żeś pan impertynent.

— A ona jest głupia! krzyknął Djonizy tak głośno, że już Magdusia nie potrzebowała tego pannie powtarzać.

Zawstydzona, zaczerwieniona Róża, pobiegła do matki wylewając łzy obfite, narzekając jak jest nieszczęśliwa; że ją tu nikt nie szanuje, że się nikt za nią nie ujmie i t. p. Pułkownikowa wysłuchawszy tych żalów westchnęła nad smutnemi okolicznościami, niepozwalającemi im mieszkać w Warszawie, którą zawsze lubiła i radziła jéj z sobą obiady jadać osobno, oraz jak najmniéj pokazywać się u siostry. Bo wiesz, dodała, że oni ci nigdy nie przyznają słuszności.

Oświadczyła tedy Róża stanowczo siostrze i szwagrowi, że się już nic a nic do ich dzieci mieszać nie będzie. Myślała że ten wyraz zobojętnienia na ich dobro wywoła pewien efekt, ale była srodze zawiedziona, bo Karolina powiedziała jéj: „Kochana Róziu, rób jak ci się podoba,“ a Seweryn dodał chłodno:

— Dawno już to powinnaś była uczynić dla miłego spokoju.

Tak rzeczy pozostały aż do czasu, kiedy pan Djonizy opuścił Walną, przy oddawaniu do szkół najmłodszego z jego uczniów. Helenka kończyła wtedy rok czternasty, i rodzice przemyśliwali na którą z warszawskich pensji ją oddać.

Wtedy znów nastąpił zdawna już niesłyszany okrzyk oburzenia panny Róży.

— No! to już będzie ukoronowanie téj cudacznéj edukacji. Pensja to zaguba dla panienki. *C'est une école de perdition*, wytłomaczyła po francuzku, jakby dla większéj dobitności. Sama nawet pani Hoffman jest przeciwną zakładom tego rodzaju.

— Szanuję niezmiernie zdanie pani Hoffman, odpowiedział na to Seweryn, ale też czasem ośmielam się miéć i swoje.

— Pani Hoffman może się uprzedziła oglądając zakład źle prowadzony, wtrąciła Karolina.

— Bo żeby to przynajmniéj módz ją oddać do Drezna, albo do Paryża do *Sacré coeur*, mówiła daléj Róża.

— Złapałem cię, zaśmiał się Seweryn, więc tam jużby nie było *école de perdition*, bo zagranicą tylko sama cnota i dobre obyczaje się gnieżdżą,

— Zapewnie że nie, przyznała Róża, ale powiedz, czyś słyszał, żeby panny z pierwszego towarzystwa oddawano na pensję do Warszawy?

— Nie słyszałem, bo się o to nie pytam i pierwsze towarzystwo mnie nie obchodzi, gdyż do średniego należę.

W tydzień potem pani Karolina odwiozła córkę do Warszawy i zostawiła ją w zakładzie naukowym pani G.

W roku 1847 Helenka skończyła pensję i umiała dokładnie wszystko co w niéj uczono. Ówczesny program nauk dla szkół żeńskich, był daleko bardziéj od dzisiejszego ograniczony, ale uczennice pragnące jeszcze daléj pracować, pozostawały na drugi rok w ostatniéj klassie i dopełniały kursa prywatnie pobieranemi lekcjami. Tak miało być i z Helenką, rodzice jéj bowiem wzięli tę zasadę żeby każdemu z dzieci dać gruntowną edukację, jako najgłówniejsze uposażenie. Tembardziéj, że przypadłość pieniężna na pięć głów, przy nieposuniętych jeszcze latach rodziców, nie mogła być wielka z dwóch folwarków.

Pułkownikowa z Różą jechała w tym właśnie roku do wód Trenczyńskich i mia-

ły zabrać z sobą Helenkę, żeby z niemi tam przepędziła wakacje. Cóż to była za radość dla siedmnastoletniéj panienki, znającéj tylko wieś, w któréj się urodziła, a z Warszawy jedynie życie pensionarskie. Miała po drodze zwiedzić Kraków, ten skarbiec pamiątek, o którym jéj tyle zawsze rozpowiadał pan Djonizy, miała zobaczyć po raz pierwszy góry, i jeszcze jakie!... te najdroższe, najpowabniejsze dla serca polskiego. W Trenczynie zastały liczne towarzystwo, po większéj części z Galicjan złożone i pomimo że żyły skromnie i mało kogo widywały, Helenka zwróciła na siebie uwagę. Świeżość lat siedmnastu jest wielkim powabem, zwłaszcza kiedy się ma takie szafirowe oczy, których piękność na długo wystarczy i tak wdzięczną postać, że zdaje się zdradzać najszlachetniejsze duszy usposobienia. To też za Helenką spojrzał nie jeden, tak mężczyzna jako też i kobieta mówiąc do siebie: „co za miła panienka!“ a ciotka Róża widząc to, wzdychała na wspomnienie dawnych czasów, kiedy się to za nią oglądano, kiedy ją chwalono i zaczynało fermentować w niéj jakieś przykre uczucie, wielce do zazdrości podobne, które, gdyby miała mniéj zacne serce, wyrodziłoby się może w chęć szkodzenia siostrzenicy lub upokarzania jéj; nie doszło jednak do tych rozmiarów powstrzymywane rozwagą, ale też nie dozwoliło jéj nigdy, mieć względem Helenki tego macierzyńskiego usposobienia co to każe zapominać o sobie. Ciotka kupując suknie, dla siebie zawsze zabrała najpiękniejszą, nie dbała, czy to co włoży siostrzenica, będzie jéj lub nie do twarzy, przytém dawała jéj od czasu do czasu dość cierpkie przestrogi.

— Nie uważa mama, mówiła do pułkownikowéj, jak ta Helenka ma w sobie coś efronckiego. Ani się nigdy nie zarumieni, ani oczów nie spuści, mówi śmiało i patrzy przed siebie, jakby już z jakie dziesięć lat w świecie bywała.



Helena postrzegłszy je zerwała się z miejsca chwytając rękę babki dla pocałowania.

W istocie młoda panienka miała tę śmiałość prawdziwéj prostoty i niewinności, śmiałość będącą wyrazem duszy pogodnéj i energicznéj, jednakże swoboda jéj obejścia, która przypominała jeszcze stosunki pensjonarki z koleżankami, nacechowana była niezwykłym taktem i godnością. Poszła tam, gdzie ciocia iść nie śmiała, zrobiła interes daleko lepiéj od niéj, kupiła, przyrządziła wszystko jak należy i ona, najmłodsza, stawała się niejako opiekunką dwóch starszych krewnych, które już miały zachować do śmierci wielkich pań niedołęztwo, potrzebowały zawsze licznéj słu-

żby, nie umiały sobie same radzić i na niczem się nie znały.

Pomiędzy bawiącemi w Trenczynie gośćmi, był jeden młody człowiek, który lubo tak nie szumiał jak drudzy, odznaczał się jednak powierzchownością i wykształceniem. Ci co chcieli zmniejszyć jego wartość (a znajdzie zawsze takich około siebie, każdy człowiek wyższych usposobień) utrzymywali, że dla tego jego rozmowa tak poważna i naukowa, że świeżo wyszedł z uniwersytetu i nie otrząsł się jeszcze z pyłu studenckiéj pedanterji. Każdy jednak, z kim on bliżéj przestawał, musiał przyznać, że rozmowa jego była zajmującą. Znalazła to sama nawet pułkownikowa, mimo że zawsze bardziéj płochą i wesołą niż poważną gawędkę lubiła. Pan Stefan D.. stracił przed kilkoma miesiącami matkę, a żałoba jaką nosił daleko cięższą jeszcze w sercu niż na odzieży, kazała mu unikać gwarnych zebrań, że zaś mieszkał niedaleko naszych znajomych, łatwo zapoznał się z niemi i codziennym bywał gościem.

— Helenka wpadła mu w oko, odezwała się raz do córki pułkownikowa.

— Oczywiście bawi się nią jak dzieckiem, odparła Róża.

To dziecko wydało się jednak Stefanowi nad podziw umysłem dojrzałe i kiedy słyszał, jak ją nazywano „miłą panienką,“ przerywał zwykle i dowodził z zapałem, że powiedzieć *miła* to mało, bo ona ma w sobie coś niepospolitego, że w téj wiotkiéj postaci, nie zupełnie jeszcze z dzieciństwa wyrosłéj, czuć stałość przekonań, energję niezwykłą, znać, że gruntowna edukacja położyła tam podwaliny rozumu trzeźwego i trafnego sądu o ludziach i rzeczach. Słuchając tych dowodzeń starsi, uśmiechali się kiwając głową, czego sens był mniéj więcéj taki: „Oto zwyczajnie wpływ pięknych oczu, na dwudziesto-trzech letniego młodzieńca.“ Rozumiał to Stefan, bo zniżał wtedy ton zapału z jakim mówił i spuszczając oczy dodawał:

— Wierzcie mi państwo, staram się sądzić bez zaślepienia.

Pułkownikowa, którą niezmiernie korciło, żeby poznała stan majątkowy Stefana, dowiedziała się rozpytując tego i owego, że majątek jego zeszłorocznemi wypadki nadwerężony został, lecz że mu matka zostawiła sporą wioskę w Sandeckim cyrkule. Ta wiadomość podobała się pułkownikowéj, która obyczajem matek i babek mających panny, miała nieprzepartą słabostkę do właścicieli ziemskich, jakkolwiekby byli nawet obciążeni długami. Tak ją też nudziły i przerażały dowodzenia Seweryna, że dzieci skieruje do przemysłu i handlu, i że byłby najszczęśliwszy, gdyby wyszli na zdolnych rzemieślników i fabrykantów, iż rada uczepiła się téj myśli, że przynajmniéj Helenka wyjdzie za mąż, nie za mydlarza, a za *obywatela*, tylko bowiem szlachta ziemska u nas, jako w kraju przeważnie rolniczym, używała w potocznéj mowie téj nazwy. Ale cóż, kiedy z podsłuchanych rozmów obojga młodych, nie mogła wywnioskować z niejaką pewnością, czy się kiedy pobiorą.

— Podobała mu się Helenka, mówiła do córki, już to jest wyraźne, ale miły Boże! czy się to tak za moich czasów kochano!... Żeby ją choć kiedy w końce palców pocałował, żeby jéj oczy pochwalił, które że piękne, to już zaprzeczyć trudno, żeby jéj jaki taki komplemencik powiedział, co to panience miły, że jéj od wzruszenia mało krew z policzków nie wytryśnie—gdzie tam!—on się jéj pyta, czego i jak ją uczono na pensji, znajduje że to jeszcze mało, objaśnia jéj gdy ona czego nie wié, słowem, takie czasem prawi morały biednéj dziewczynie, że mi aż raz przypomiał Djonizego.

— Ach! fi! skrzywiła się Róża, on taki ładny chłopiec.

— No zapewne, nie mówię o powierzchowności, uśmiechnęła się pułkownikowa, ale że czasem taki nudny, jak stary nauczyciel, to pewna.

Tymczasem Helenka, dla któréj nawet nauczyciel nudnym się nie wydawał, nie mogła nigdy dosyć nagadać się ze Stefanem. Wydawał jéj się tak dobry jak brat jéj Kazio, który był zawsze najwierniejszym jéj opiekunem, z tą różnicą, że słowa jego i rady, większe od braterskich robiły na niéj wrażenie. Gdy miały wracać do Warszawy, powiedział jéj Stefan przy pożegnaniu.

— Mam wielką ochotę przedstawić się rodzicom pani, robię nawet projekt, żeby téj zimy odwiedzić Królestwo, czy upoważnia mnie pani, abym zajechał do Walnéj?

— O! przyjedź pan, zawołała z nietajoną radością, lecz spojrzawszy na niego, spuściła oczy i zarumieniła się tak, żeby nawet ciotka Róża była z tego kontenta gdyby nie to, że podraźniłby ją niezawodnie ten drugi rumieniec, co wykwitł w téj chwili na licu młodzieńca i te jasne promienie, które na raz z ócz obojga trysnęły; rodzące się bowiem u drugich uczucia, witała zawsze z gorzkim na siebie zwrotem i rzecby można z zawiścią. Lecz wśród krętaniny wyjazdu, nie dostrzegła nicz go ciotka, a Helenka usiadłszy naprzeciwko niéj w pojeździe przymrużyła oczy jakby drzemać chciała, pragnąc widać spokojności, dla uciszenia tych słodkich niepokojów, jakie w jéj myśli i uczuciu powstały.

W Warszawie rozpoczęła na nowo naukę, a wspomnienie tego, który jéj mówił z takim zapałem o roskoszach jakie ona daje, stało się dla niéj nowym bodźcem. Zdawało jéj się, że jéj piąty brat przybył, spostrzegała się tylko nieco zawstydzona, że o tym nowo przybyłym najczęściéj myśli. Jechała do rodziców na święta Bożego Narodzenia ze świadomością, że się wszyscy czteréj zjadą, a z pytaniem od którego mocniéj biło jéj serce, czy i *on* też tam także przybędzie?

W ostatni dzień roku zabrzmiała trąbka pocztowa na podwórzu w Walnéj i jakiś pan zajechał prosto do małego dworu, (tak nazywano dom pułkownikostwa). Róża, która była u siostry, pobiegła ciekawie do okna, przy którém już stała Helenka tak pomieszana, że ciotka z przenikliwością kobiecą odgadła od razu kto przyjechał. No proszę, pomyślała sobie, oni się widzę bardziéj porozumieli niż zrazu sądziłam. A potém zbliżając się do siostrzenicy odezwała się cierpko:

— Czegoż się czerwienisz? Choćby to nawet pan Stefan D.... przyjechał, to jeszcze nic nie znaczy, bo widzisz, ja miałam takich, co u nóg moich klęczeli i przysięgali miłość, a jeszcze nie ożenili się.

Helenka nie zrozumiała dobrze, czego ciotka chce od niéj, lecz jéj się niepojętym dotąd sposobem smutno zrobiło i jakby na zadosyć uczynienie woli Róży, którą jéj rumieniec niecierpliwił, bladość niezwykła jéj lica pokryła. ✝

W godzinę potém pułkownikowa z uśmiechem, w którym przebijał pewien rodzaj tryumfu, wprowadziła Stefana D... i zapoznała go z córką i zięciem Spędzili wieczór na przyjemnéj pogadance, bo młody człowiek przystał od razu do téj rodziny i ogólnie im się podobał.

W piersi zaś Heleny odzywało się nieznane dotąd życie, jak w kielichu kwiecia, co zbudzony ożywczym słońca promieniem, swą pierwszą, lubą woń wydaje. Zrobiło jéj się na raz tak błogo i jasno, że od téj jasności wypiękniał cały jéj dom rodzinny, ciotka wydała się słodką i niegderliwą, mroźny styczeń najpiękniejszy z miesięcy, a poczynający się rok nowy, ścieżką usłaną kwiatami, mającą zaprowadzić do raju. Był to cudowny skarb uczucia, co urosł pod tkliwą pieczą matki i ojca i pozostał w skarbnicy jéj żywota najdroższym klejnotem, mającym przyświecać wśród dalszych kolei losu, trosk, zwątpień, chłodu wiejącego od ludzi i okoliczności.

W końcu miesiąca Stefan wyjechał w Poznańskie mówiąc wszystkim do widzenia i rozmówiwszy się tajemniczo z ojcem Heleny, którą też wkrótce mimo przedstawień Róży, wyprawiono jeszcze do Warszawy. Przy odjeździe Seweryn rzekł do córki:

— A pamiętajno dobrze dzieweczko, żeby moje pieniądze w marności nie szły. Najcięższa praca z myślą o was, jest nam lekką, byle tylko to, co z niéj osiągniemy, pożytek wam przyniosło.

Helena ucałowała kolana ojcowskie, zapewniając, że jéj dobrodziejstwa rodziców żywo stoją w pamięci i łzy obfite ulżyły jéj piersi, potokami doznanych radości i smutków wezbranéj. W Warszawie miała pociechę zastać dawnego nauczyciela, który się tam już stale osiedlił, dostawszy posadę nauczyciela szkół rządowych.

Był to wierny przyjaciel, który stanął znowu obok niéj, aby niejedną zdrową radą wesprzeć jéj kroki niepewne, lubo więc przy końcu roku opuściła ze wszystkiem

pensję i wróciła do domu, pozostała zawsze w listownych stosunkach z Djonizym.

Słusznie powiedział Wiktor Hugo, że na tym świecie „każde niebo jest chmurne, a w każdym miodzie gorycz,“ bo koniec roku nie był takim dla Heleny, jakim był jego początek i nietylko, że nie zaprowadził do przeczuwanego i upragnionego raju, ale pozostawił w krainie zwątpień i tęsknoty. Stefan pisał dwa razy i potém już żadnéj nie było o nim wieści. Wszyscy prawie wnosili z boleścią, że mu się przytrafiło jakie nieszczęście, jedna tylko Róża której niekiedy wtorowała pułkownikowa, dowodziła, że to jest zwyczajna płochość męzka i że jeżeli nie pisze to dla tego, żeby się chciał teraz wykręcić od stosunku, który go już cokolwiek obowiązywać zaczął. Rodzice Heleny widząc w jaki ją to smutek pogrąża, uradzili żeby jak najmniéj o tém wszystkiém mówić, uważać całą znajomość ze Stefanem, jakby za niebyłą, i dać jéj zajęcie, któreby rozrywało jéj myśli.

Miała tedy w pobliskim gaju urządzić pasiekę, z któréj dochód dla niéj wyłącznie był przeznaczony. Dobrała sobie poczciwego staruszka, mającego niejaką znajomość rzeczy na pasiecznika i cały rok szło jéj pomyślnie; pszczołki się roiły i hodowały dobrze. Lecz że to jéj nie wiele dawało zatrudnienia, prosiła ojca, żeby jéj wypuścił krowy w arendę i z uzbieranych za miód i wosk pieniędzy położyła z góry kwartalne takie, jakie jéj poprzednicy płacili. Rodzice dali swe zezwolenie, a Helena rozwijając szczególną przedsiębierczość, zaczęła wyrabiać na sposób zagraniczny różne séry i wysyłała je na sprzedaż do Warszawy, do pewnego handlu winnego, z którego właścicielem Djonizy był spokrewniony. Otrzymane zyski radowały ją niezmiernie, nie tyle jako źródło dochodu, ale jako powodzenie i pracowitych usiłowań nagroda.

— Co się dzieje, co się dzieje! wołała babka, natura się widać omyliła, mieszcząc naszą Helenę wśród poczciwéj szlacheckiéj rodziny.

— Zmiłuj się mama! odpowiadała reflektując ją Karolina, albo& ona robi co nieuczciwego? Wstaje rano, dogląda sama wszystkiego, prowadzi całą robotę z ładem, rachunki z warszawskim handlem jak najskrupulatniéj, jeżeli tedy praca jéj procentuje, co w tém może być zdrożnego?

Pułkownikowa na to spuszczała głowę, nie znajdując dość silnych na przeczenie argumentów, ale też i nie mogąc być przekonaną, a Róża mówiła wzdychając:

— Widzę że dzisiejsze panny nie będą umierały z miłości. Gdy im kochanek nie dopisze, rzucą się na drogę handlowych spekulacji i znajdą w tém zupełne uszczęśliwienie.

— Droga panno Różo, odezwał się na to Seweryn, masz dar przekręcania i szpecenia wszystkiego szyderstwem twojém. Czy poczytujesz takie społeczeństwo za wzorowe, w którém ludzie umierają z miłości? Nie, wierz mi, jest to słabość, nad którą rozczulić i litować się można, ale znaczy ona wielki ducha upadek, szanowną jest więc praca, która najskuteczniejsze przeciw niemu podaje lekarstwo. Pod jéj strażą nabieramy tego hartu który jest puklerzem przeciw wszelkiemu moralnemu upadkowi, a każda boleść, zamiast nas pognębić, staje się nowym szczeblem na drodze udoskonalenia.

— Pan brat zawsze pięknie mówi, odpowiadała na to z przyciskiem Róża i zdejmowała rękawiczki, ażeby obejrzéć swoje paznokcie, Seweryn zaś wynosił się z pokoju.

Nie sądźcież przypadkiem i wy czytelnicy, że powabna Helenka zabiła w sobie całą poezję uczuć, a myśl jéj uwięzła w dążnościach zarobkowania, nie mogła się już unieść z po nad kotła w którym się warzyły twarogi. Pomimo, że się zajmowała swojém przedsiębierstwem troskliwie, bo wrosło to już w jéj naturę, że co raz robiła, musiała robić dobrze, wiele jéj jeszcze zostawało czasu, albowiem do oszczędnego rozporządzania tym kapitałem, którego życie uczyniło nas szafarzami, przyzwyczaił ją wcześnie pan Djonizy. Były więc godziny i na przejrzenie gazet, z których potém ojcu zdawała sprawę, były czytania kształcące w historji krajowéj, nawet niekiedy przeczytała co po francusku ciotce, która była dosyć kontenta z jéj akcentu, lecz znajdowała, że książki jakie

ma, są wszystkie za *mądre*. Helenka miała przytém talent, który rzucił urok na niejedną chwilę życia całéj rodziny; deklamowała prześlicznie. Nadzwyczaj bystra pamięć dostarczała jéj coraz to nowego materjału, a głos jéj melodyjny i pełen dźwięku, raz silny jak hart jéj ducha, to znów rzewny i głęboki jak uczucie, nieopisane wrażenie sprawiał na słuchaczach; nawet ciocia czasami mimowolną uroniła łezkę, co zaraz dopatrzył ojciec i zapytywał téjże: a co? czy to nie warte nędznego brzdąkania na fortepjanie?

Potém zaś kiedy Helenka pobladła, z czołem na rękę skłonioném, we własnych utonęła wzruszeniach, jakby nieprzytomna na to co się w około niéj działo, Seweryn pochylając się ku żonie i obejmując ją tkliwym uściskiem szeptał:

— Niech sobie mówią co chcą, ale nam się nasza córeczka udała.

Tak minęło lat kilka dość jednostajnie, wśród których ta tylko zaszła okoliczność, że rodzice oddali Helenie dziesięć tysięcy złp. jakie jéj pozostawiła ciotka Agnieszka i zbadawszy dobrze interes, pozwolili je użyć na przystąpienie do współki z handlem win, który przedawał séry z Walnéj. Helena kończyła lat 21 kiedy Kazimierz brat jéj najstarszy miał się żenić. W tym czasie odebrała od Djonizego list mieszczący wyrazy: „Twój wspólnik p. H. zapadł na zdrowiu tak, że choroba zapewne długo potrwa; żona jego, to ładne cacko w tym domu, ale głowa nie do interesów, przytém zajęta doglądaniem męża i wewnętrznego gospodarstwa, musi koniecznie spuścić z oka to, co właśnie stanowi rękojmią ich materjalnego bytu. Dla tego potrzeba im człowieka sumiennego, dokładnie obeznanego z buchalterją, któryby wziął główny kierunek interesów handlowych. Wspomniałem o tobie ręcząc za prawość twego charakteru i biegłość w rachunkach, która przecież mojém jest dziełem. Z początku zdziwili się bardzo, szczególniéj pani H.... w któréj umyśle każde zajęcie wymagające wielkiego ładu i skrupulatnéj ścisłości, przedstawia zawsze trudność niepokonalną, stanowczo zaczęła się opierać powierzeniu kobiecie takich interesów. Przekonałem się że z niedołęztwa ogółu kobiet tworzy się najsroższy pocisk, którym one kamienują śmielsze swe siostry. Żeś się utrzymała przy posadzie, która cię może doprowadzić do majątku, winnaś to nader brzydkiemu uczuciu. Pan H. jest bardzo zazdrośny o swoją żonę i nie radby widzieć w takich ciągłych z nią stosunkach młodego mężczyznę, uparł się więc żeby do ciebie napisać i żona ustąpić musiała. Co powiedzą na to rodzice twoi? pamiętam żeśmy się jednak zgadzali w zdaniach, kiedy za ich uznaniem zacząłem ci dawać edukację taką, żeby ci była w potrzebie podporą i chlebem, żeby cię jak najmniéj uczyniła podobną do cioci Róży!....“

Ten ostatni argument roztkliwił Helenę wspomnieniem gorliwéj troskliwości nauczyciela. W istocie czyż mimowolnie może nie wyszłaby na taką postać jak Róża, gdyby nie kierunek jaki on dał jéj umysłowi; trzebaby było przyjąć mimo wstrętu jakiego na samą myśl doznała, rękę sąsiada który się o nią niedawno oświadczał, a był on tak śmiały bynajmniéj nie skutkiem okazanéj mu przychylności, tylko dla tego że czuł w swéj kieszeni dużo pieniędzy. „Być tak nieużyteczną — tak nieznośną, jak ciotka Róża!“ lub zmarnowawszy młodość w próżnowaniu, brać się do pracy kiedy nędza stanie w progu, kiedy już nie dopiszą ani siły ani zdolności..... Helena zadrżała na samo tego przypuszczenie i pomyślawszy jak matka ją kochała, jak ojciec miał zdanie niepodległe i szedł za przyjętemi zwyczajami tylko wtedy, kiedy się zgadzały z jego rozsądkiem i sumieniem, udała się do nich z listem Djonizego i prośbą swoją.

— Drodzy rodzice, odezwała się, będziecie mieli teraz drugą córkę w żonie Kazimierza, czy pozwolicie mi oddalić się zupełnie na swój chleb?

— Jakto? zapytali razem ojciec i matka.

Helena dała im list Djonizego do przeczytania i dodała że przyjmując to zajęcie, wypadałoby jéj stale zamieszkać w Warszawie.

— Ach! moje dziecię, chcesz nas opuścić! zawołała z tęsknem rozrzewnieniem matka.

Ojciec w milczeniu wstał i zaczął szybkim krokiem chodzić po pokoju. Helena ścigała go oczyma ze wzruszeniem, czując że w jego jasnym i trzeźwym rozumie, jéj losy się ważą.

W istocie Seweryn namyślał się głęboko. Puścić z domu na własny chleb córkę, kiedy było we zwyczaju że córka opuszczała rodziców tylko idąc do ołtarza, lub w takiéj biedzie gdy już jeść dla wszystkich nie było. Tymczasem tu nie zachodziła ani jedna ani druga przyczyna. *Co powiedzą ludzie?* To pytanie stawia się zawsze nawet umysłom najbardziéj niepodległym, kiedy mają zrobić krok odbiegającéj od utartych zwyczajów, ale ważniejsze względy przemogły widać w rozwadze Seweryna, bo machnął ręką jakby lekceważył wszystkie gadaniny mogące wyniknąć z tego powodu i rzekł poważnie zatrzymując się przed Heleną:

— Zrobisz moje dziecko jak ci się podoba.

Helena skłoniła się do nóg ojcowskich.

— Namyśl się jeszcze dobrze, Helenko, dodała przytłumionym głosem matka, czy ci nie będzie żal nas opuścić?

—A gdybym sobie upodobała pana Feliksa, który mi przed dwoma miesiącami proponował dozgonne związki, zapytała z uśmiechem Helena, byłabyś daleko wyrozumialsza na to opuszczenie, nieprawdaż, matko kochana?

— Zapewne, — chociaż zarównoby mi ciebie w domu brakowało.

— Dopókiby nie nastąpiło przyzwyczajenie!... Tak będzie i teraz. Tymczasem wszyscy bracia się pożenią...

— A ty, nigdyże sama za mąż nie pójdziesz? zapytała matka.

— Nie wiem — dotąd jednak zdaje mi się że nie, odpowiedziała Helena i wybiegła zarumieniona z pokoju.

— Nie badałam jéj, ale uważam, że wspomnienie Stefana nie wygasło jeszcze w jéj sercu i może jéj na zawsze zamknąć drogę do zamęźcia, rzekła Karolina do męża.

— Ha! niech się dzieje wola Boża! odpowiedział Seweryn, może jéj przeznaczono dać z siebie przykład iunym, którym także nie dopisze małżeństwo. Widzisz że tu gdzie takiego mężczyznę coby jéj był godzien? co do mnie, wyznać muszę, że upatruję i że dotąd nie znalazłem.

Uradzono że się nic nie powie babce i ciotce o przyczynie wyjazdu Heleny dla uniknienia przedstawień, a może spazmów i płaczów. Dopiero z Warszawy napisała wnuczka list do pułkownikowéj zawiadamiając ją o wszystkiém.

—Miły Boże! co się to stało, czy Sewerynostwo zrujnowani? zawołała babka z płaczem.

Zięć zapewnił ją że nie, jednak dodał że nie jest tak bogatym, aby koniecznie przeszkodzał córce w pracowaniu saméj nad powiększeniem swego majątku.

— Ja jéj nie wiele będę mógł zostawić, rzekł, bo wiadomo mamie, że dla chłopców nadwérężyłem dużo kapitału, niech więc sobie zarabia sama kiedy chce — pieniądz w jéj ręku będzie szlachetném narzędziem....

— Albož to kobiety rzeczą zarabiać? Boże, Boże! cóż to za wyobrażenia wchodzą teraz w modę!

— Mama nie zaprzeczy, że jéj bracia pracują każdy w swoim zawodzie?

Lecz pułkownikowa nic nie odpowiadała, zajęła się bowiem swemi planikami. A naprzód wydało jéj się że niepodobna aby Helena wyjechała dobrowolnie z domu, że ją pewno ojciec do tego namówił, skutkiem majątkowego upadku z którym się kryje. Namyśliła się więc żeby na Śty Jan odebrać summę, którą umieściła na wielkich magnackich dobrach i część jéj przynajmniéj dać Sewerynowi, żeby już jedynéj córki nie poniewierał między ludźmi. Zawiadomiła tedy na pół roku przed terminem (jak to było w umowie) że chce odebrać swój kapitał i w Czerwcu najspokojniejsza wybrała się po niego do Warszawy. Miała ona niewyleczoną słabość do starych niegdyś wielkich imion i wierzyła że ci co je noszą powinni iść zawsze w parze z prawością. Przytém są majątki tak znaczne że w ich upadek uwierzyć trudno, chociażby się nawet znało lekkomyślność ich posiadaczy. Powtarzamy więc że pułkownikowa pełna dobréj myśli i w pożądaném zdrowiu mimo swych lat siedmdziesięciu, przybyła do Warszawy. Powiedziała Róży że chce sama odwiedzić Helenę,

aby jéj pomyślną wieść oznajmić „przytém też“ dodała „chcę zobaczyć na własne oczy, jak tam dotąd żyło, to biedne dziecko.“ Kazały się tedy zawieźć według wiadomego sobie adresu. Wskazano im że trzeba wejść przez sklep.

— Róziu, zawołała pułkownikowa odwracając się gdy zaledwie na progu stanęła, Róziu, podaj mi rękę, bo padnę od tego *fatalnego odoru*.... ten pieprz mnie zabija!...

I odetchnęła ciężko przymrużając oczy, podczas gdy Róża która bystrém rzuciwszy okiem zobaczyła Helenę zapisującą przychód w wielkiéj rachunkowéj książce, wyrzekła z tryumfującém szyderstwem:

— A co czy nie mówiłam, że zrobią z niéj buchaltera?

Miała bowiem słabość dowodzić, że się wszystkie jéj przepowiednie sprawdzają. Helena postrzegłszy je zerwała się z miejsca chwytając rękę babki dla ucałowania.

— Moje dziecko, wychodź z nami co prędzéj, jeżeli nie chcesz abym zemdlała ze wstydu.

— Będę mogła dopiero za godzinę odpowiedziała Helena smętnie się uśmiechając.

— Och! jesteś nieszczęśliwa, bardzo nieszczęśliwa, nieprawdaż? ja to zaraz odgadłam, pochwyciła babka inaczéj sobie jéj uśmiech tłomacząc.

— Ja? zaśmiała się szczerze i niewymuszenie Helena, mnie tu bardzo dobrze, tylko mnie smuci, że kochana babcia inaczéj te rzeczy pojmuje.— I w tém odwróciła się zapytana o coś i do ksiąg swoich zajrzała.

— Porzućże te nieznośne książki z rachunkami, odezwała się ciotka, ciskając dumne i wzgardliwe wejrzenie. Wiesz, że mam do rachunków wstręt wielkiéj pani. I obejrzała się czy też kto z otaczających usłyszał i w jéj państwo uwierzył.

— A jednak wierzaj mi ciociu, rzekła jéj na to siostrzenica poważnie, że w porządnie prowadzonych rachunkach jest tajemnica spokoju nie jednéj rodziny. Mało mówię! w nich leży rękojmia uczciwości. Kto wydatków swoich od dochodu zależnemi uczynić nie umié, nie potrafi też dopełnić zobowiązań swoich względem drugich i staje się nie raz prostym złodziejem!

— Och! zawołały obie panie oburzone tym obrazem, który im się wydał zbyt dobitnym; jednak prawdziwości jego wkrótce na sobie doświadczyły, bo summa pułkownikowéj, którą połakomiwszy się na procent wysoki, oddała w ręce jednego z tych nieumiejących rachować utracjuszów, przepadła jeżeli nie zupełnie, to przynajmniéj termin jéj odebrania tak się stał oddalonym, że już go nie spodziewała się doczekać właścicielka. Ta zgryzota zgnębiła ją niesłychanie, przyplątała się do tego jakaś zapalna choroba zmęczeniem w podróży wywołana i w dwa tygodnie skończyła życie na rękach córki i wnuczki, wpierw nim one pośpieszyły donieść do Walnéj że grozi niebezpieczeństwo.

Cios ten najsrożéj uderzył w Różę. Była ulubienicą matki i u niéj znajdowała najwięcéj pobłażania na dziwactwa i wymagania swoje, gdy tymczasem ojciec stawał zawsze po stronie drugiéj córki i zięcia. Postanowiła więc że już nie wróci do Walnéj, ale jak sobie życie urządzić?.... sama w żaden sposób nie chciała mieszkać, nie wiadomo już, czy jeszcze przez pięćdziesięcioletnią skromność, czy przez trwożliwość niedołęztwa swego. Zrobiłaby to może nareście gdyby była w stanie otoczyć się liczną służbą i trzymać *dame de compagnie*, ale jéj dochody nie wielkie, starczyć mogły zaledwie na jednę służącą, wolała zatém umieścić się w klasztorze u PP. Sakramentek, a odtąd życie jéj odosobnione od rodziny, słabym tylko związkiem rzadko z obu stron pisanych listów, z nią się łączyło! Dziwna się też wyrodziła w niéj obojętność na losy krewnych, utonęła w drobiazgach swych powszednich kłopocików, chowała kanarki, a lubiła namiętnie koty i położyła sobie za zadanie tak kształcić tych ostatnich, żeby straciły przyrodzony pociąg do zjadania pierwszych. Nie wiadomo nam jakie osiągnęła skutki na téj drodze szlachetnych poprawek natury, lecz tośmy słyszeli, że dała się rozrość olbrzymio swéj skłonności do szyderstwa i przycinków, krytykuje ciągle zakonnice, karci ostrém słowem każdy sposób postępowania, który nie jest jéj własnym sposobem i gotowa się rzucić z wdzięcznością na szyję każdemu, kto jéj

przyjdzie opowiedzieć jaką gorszącą historyjkę. Co jéj nie przeszkadza uważać się za bardzo pobożną, zachowuje bowiem jak najskrupulatniéj wszystkie formy religijne i grozi z zapalczywością wieczném potępieniem tym, którzy ośmielają się czasem posty łamać. Zapomnieliśmy jeszcze dodać, że od lat dwudziestu zgórą, stawia bez przestanku na loterję i robi projekta jak użyje pieniędzy które wygra, a w tych projektach niepominięta nigdy dola starego szpica, ostatniego, a zupełnie nie udzielającego się towarzystwu psiemu, potomka sławnych Uryk i Bufków z Rożkowa. Jest nadzieja że jeżeli loterja dopisze, wierny Bufek będzie miał pomnik grobowy najpierwszego zagranicznego dłuta; dla tego mówimy zagranicznego, że panna Róża nie przypuszcza istnienia artystów rodaków i z tego powodu robót żadnego z ludzi którzy u nas używają tego miana oglądać nigdy nie chciała, ponieważ sobie powiedziała z góry, że pewno nic nie warte. Dałby Bóg, żeby i ona należała do niknących z pomiędzy nas gatunków, tak jak jéj szpic szacowny.

Lecz wróćmy do Heleny, która swoim kosztem, z wystawą i okazałością, jak to babka zawsze za życia lubiła. wyprawiła jéj pogrzeb. Nauczające losu zrządzenie! nié ma widać pewniejszych pieniędzy nad te, które daje uczciwa praca i oszczędność. Pułkownikowa śpieszyła funduszami swemi wyrwać wnuczkę z tego, co mniemała być poniżeniem, a tych funduszów co jéj tak lekko przyszły spadkiem po starościnie, zbrakło jéj na ostatni pośmiertny obrządek, podczas kiedy były na pogotowiu pieniądze, zarobione z mozołem i wytrwałością. Dostała więc jakby nauczkę, z któréj już korzystać nie miała.

W niespełna trzy lata potém skończył spokojnie, po chrześcijańsku, sam pułkownik, a w ciągu tego czasu rodzice Heleny, na mieszkanie do Warszawy się przenieśli i pożenili się wszyscy jéj bracia. Zdawało się, że jéj losem będzie pozostać tak bezmężną jak babka Agnieszka i ciotka Róża, ale jakże odmiennem było jéj życia pokierowanie! Tak to duch czasu urabiając pojęcia nowe, nowych ludzi tworzy. Agnieszka przyjęła swoję dolę ze słodką rezygnacją, ale pozostała zawsze w niedołężnéj bierności, nic też innego prócz litości uczucia, nie doznała od ludzi, od tych nawet, dla których jéj życie było ciągłém zaparciem się siebie, co się jakby w jednym poświęcenia wyrazie, w jéj śmierci streściło. Róża czuła już wybitniéj że ma prawo do takiego jak drudzy stanowiska w społeczeństwie, oburzała się na krępujące ją formy, ale nie była dość śmiałą, aby sama po to sięgnąć czego jéj świat nie dał, więc był to bunt bezsilny, bezowocny, nie tylko szczęścia nie dający, ale owszem trujący wszystkie jego możliwe warunki. Helena zaś obdarzona energją, którą silnym filarem podparła gruntowna edukacja, zbyt harda aby miała utyskiwać, rozejrzała się po świecie, nie, ażeby jęczeć i skwasić się, ale po to żeby sobie radzić. Jéj jedynym buntem była praca, ten pierwszy, ważny krok na drodze niezależności i rozumną, godności pełną śmiałością, zwyciężyła najuporczywsze przesądy, najzjadliwiéj lubiącą się pastwić głupotę. U prawych wyrobiła sobie poważanie charakterem swoim, u tłumu majątkiem który zrobiła. Gawiedź ma zawsze nieograniczone uwielbienie dla pieniędzy. Ci nawet którzy najwięcéj piorunowali na jéj wyjazd z domu, na obranie niezwykłego dla kobiety zawodu, zaczęli ją nazywać *porządną* osobą, od czasu jak się dowiedzieli że zarobiła parękroć sto-tysięcy. Kobiety wielbiły jéj przymioty, a mężczyzni radziby byli się żenić z temi krociami. Lecz żaden z tych co się przedstawiali jako starający, nie podobał się Helenie. Zapadł tedy wyrok ogólny, że tego rodzaju zatrudnienia wysuszają w kobiecie uczucie, to źródło jéj najszlachetniejszych na całą ludzkość wpływów. przyznano, że Helena rachuje biegle, ale kochać z tém wzniosłém poświęceniem jak zwykły kobiety, stworzyć tą miłością raj ziemski mężczyznie, już nie potrafi. Jest więc anomalją, małym potworkiem swego rodzaju, godnym zapewne podziwu, ale bynajmniéj nie naśladowania. Broń że nas Boże! dodawano aby taki rodzaj kobiet się mnożył!

Zaprzeczyć trudno że dla ludzi sądzących z pozoru, Helena nader chłodną wydać się musiała. Nigdy bowiem grzecznost-

ki mężczyzn nie ożywiły jéj lica, ale marmurową wywoływały oziębłość, tak że odstręczeni szarmanci wnet milknąć musieli. Znać było jednak że to była fizognomja urobiona ze świadomością rzeczy, usta bowiem Heleny łatwo powabnym zaginały się uśmiechem, ale w tak młodym wieku pozostawiona saméj sobie, musiała niezwykłą otoczyć się powagą, ażeby już z jéj powierzchowności zrozumiał każdy, do jakiego ona szacunku ma prawo. Z początku gdy się dowiedziano w mieście o ładnéj spólniczce pana H.... o jéj wybraniu z własnéj woli karjery handlowéj, zbiegali się młodzi mężczyzni do sklepu aby ją zobaczyć. Trzebaż jéj więc było surowe nastroić oblicze, żeby dać im uczuć od razu, że człowieka zatrudnionego nie godzi się próżniakom, jak zwierzę w menażerji oglądać. Pojęli też wkrótce, że ona stanęła w sklepie przy rachunkowych księgach, nie dla tego aby szczerzyć białe ząbki i już nie przychodzili więcéj. Późniéj, gdy interesa szły pomyślnie i zwiększyły się dochody, tém bardziéj zatrudnienia nie były takie aby ją skazywały na zupełne zaniedbanie umysłowe. Każdy objaw życia literackiego w kraju nie był jéj obcym, a poezja zawsze karmicielką duszy, z któréj uczucie nie ulotniło się jak woń subtelna wśród materjalnych zabiegów, lecz rozrosło w silne przekonania moralne, w gorące, niepokalane pragnienia. Nie umiała się zamknąć jedynie w maleńkim światku swej osobistości, dobro drugich zajmowało ją żywo, a życzenia które tworzyła dla siebie samej były tęsknoty i niedowierzania pełne, bo jej się wydawało że pragnie za wiele, że żąda dostać się do skarbu niedościgłego dla tysiąców, do którego tylko ręka Opatrzności, ręka szczególnego ubłogosławienia rzadkim wybranym drogę wskazuje. Tym skarbem była miłość, ale nie taka jaką widywała w około siebie, złożona z płochych westchnień, wyuczonych zalecanek i wzajemnego oszukaństwa, nie ten zmysłowy fajerwerk, tryskający na raz z dwóch par oczu, a zostawiający często po sobie ciemność w duszy, nie ten liczman światowy podany za złoto prawdziwe. Zuchwała dziewczyno! niezadowolniona tém co biorą chętnie drugie, pragniesz więc gwiazdki z Nieba?....

Nic bardziej sprzeczniejszego nie było jak usposobienia do samolubstwa i obojętności o jakie ludzie posądzali Helenę, z tkliwością rzewną którą ona w najgłębszych tajnikach serca żywiła. Czasem przemknęła w jej wspomnieniu postać Stefana, tego jedynego mężczyzny pod którego spojrzeniem jakaś pieśń czarowna w jej piersiach zadźwiękła. Umarł on czy zapomniał? te dwa zarówno bolesne stawiała sobie pytania, a oczy jéj łzami się wilżyły, wmawiała w siebie bezsilność myśląc jakby to było bezpieczno i błogo wesprzeć się na jego dzielném ramieniu. Tych jej tęsknot, Bóg tylko jeden w modlitwie był powiernikiem i szła niepokonana chwilową słabością do zatrudnień swoich, otulając tajniki swego serca w nieprzybitą dla oka ludzkiego chłodu zasłonę.

W 1859 r. państwo H.... wyjeżdżali na kurację do Krynicy i Helena wybrała się z niemi, mając następnie dojechać do jednego z miast węgierskich, zkąd głównie sprowadzali wina do swego handlu. Znowu więc ten czarowny ojczystych gór łańcuch, którego część widziała przed dwunasto laty, miał się przedstawić jej oczom. Poeta woła:

W góry, w góry, miły bracie,
Tam swoboda czeka na cię.

Helena zaś najmniej w świecie spodziewanym trafem znalazła tam ten drugi skarb żywota — miłość. Sądzicie zapewne czytelniczki, że zrobiła nową znajomość? nie— ona miała w wysokim stopniu rozwiniętą pamięć serca, więc spotkała dawną. W kościele po Norbertanach w Nowym Sączu, którędy prowadziła ich droga, przypatrywała się portretowi założyciela Władysława Jagiełły; tam przed nią stał samotny i zamyślony mężczyzna, który nie wytłomaczeném uczuciem ciekawości, jej uwagę wespół z obliczem króla litwina podzielał. Gdy się obrócił pojęła to dziwne wrażenie, które jej oczy do jego postaci przykuwało, bo na raz oboje poznając się wydali okrzyk stłumiony. Był to Stefan....

Długa i cierpień pełna była jego historja.... Dwa razy pisał do ojca Heleny i listy jego nie doszły — potém stracił cały majątek....

— Teraz zarabiam na swoje utrzymanie, dodał, musiałem się więc wyrzec wyjazdu do Walnéj, bo z takiemi zamiarami jak moje, nie można się tam było pokazać bez kawałka chleba.

— Chleb zarabia się i to dość żwawo, kiedy Bóg uczciwéj pracy pobłogosławi, mam tego na sobie dowód, odparła Helena.

Chcecie zapewne mili czytelnicy wiedzieć czy był ślub wkrótce? szczęściem że się tak skończyło i że wam o tém donieść mogę, bobyście mnie pewno oskarżyli o przesadne zalecanie kobietom bezmężnego stanu. Tyle razy zdarzyło mi się być posądzoną o to czego bynajmniéj nie myślałam!...

Stefan i Helena postanowili się połączyć węzłem małżeńskim i we dwa miesiące potém, z wielką radością rodziców, stanęła przed ołtarzem Stwórcy para dusz wyborowych, para ludzi, którym najzacniejsze przekonania wytknęły drogę a wzajemna miłość ubłogosławiła tém zdwojeniem istoty, tą podporą wzajemnego szacunku, tém bogactwem uczucia będącém najwznioślejszą pieśnią ludzkiego ducha, któréj harmonja na imię. Jak im łatwo było z podobnemi zapasami iść społem po życia drodze....

Helena mogła czekać tak długo na męża jak jéj się podobało, mogła zawrzeć związek tak dobrany, bo ona w nim nie potrzebowała szukać ani majątku, ani samoistnego stanowiska, które wcześnie sama wyrobiła sobie i takie też tylko małżeństwa, będące jedynie *spekulacją* na moralne bogactwa, mogą zapewnić szczęście tak mężczyznie, jako też kobiecie i wpłynąć na uszlachetnienie rodu ludzkiego.

J. Śmigielska.

KORRESPONDENCJA.

Wiedeń, dnia 15 lutego.

W kalejdoskopie, jaki przedstawia żywot wielkiego miasta, trudno nieraz wybrać korrespondentowi takie obrazy, któreby choć cokolwiek zajęły czytelników jego, różniących się zupełnie pojęciami i uczuciami od mieszkańców opisywanego grodu. W owém trudném położeniu znajduje się i wasz sługa, czytelniczki Kółka. Codzienny żywot wiedeńczyków w tych kilku tygodniach, to prawdziwy karnawał wenecki, nota bene z dawniejszych nieco czasów, bo dziś ów wesoły szaleniec opuścił stolicę dożów i po pięknéj południowéj kolei przywędrował do Wiednia. Owa karnawałowa wesołość zabija tu wszelką boleść. I tak: rano widziałeś mnóstwo smutnych twarzy, ściągniętych i pochylonych na wieść przyniesioną telegrafem o bitwie z duńczykami, w któréj 500 Austryaków poległo, a mimo to wieczorem rzucono się jak najweseléj w objęcia Terpsychory. Maskarady, bale, reduty były przepełnione jak zwykle. Dworskie tylko bale ustały, z powodu dwutygodniowéj żałoby po śmierci księżnéj Parmeńskiéj. Cesarstwo nie uczęszczali też z tego powodu na bale dawane *par la crême* tutejszéj arystokracji; na balu u margrabiego Pallavicini, który miał być bardzo świetny, ukazali się z całéj rodziny panującéj tylko młodzi arcyksiążęta.

W mieście bale wielkie, średnie i mniejsze, zabawy i wianki (Kräntzchen) czyli koła tańcujące zaabsorbowały wszelkie inne zajęcia. Poważni nawet profesorowie medycznego fakultetu, nie wyłączają się od téj rozrywki. I tak np. uczony Dr. Hebra walcuje zapamiętale, profesor okulistyki bardzo zręcznie wywija galopadę, mimo 6go krzyżyka wieku, a profesor chorób wewnętrznych żadnego tańca nie opuszcza. Teatra mniéj są uczęszczane, a jeszcze mniéj prelekcje dla publiczności, dawane przez znakomitszych profesorów tutejszego uniwersytetu. Owe wykłady popularne zajmowały się w tych czasach więcéj praktycznemi przedmiotami, czerpanemi z księgi natury, tak np. Dr. Hebra wykładał o czynnościach skóry i o pielęgnowaniu téjże.

Inni profesorowie zajmowali się wyjaśnieniem fałszowań pokarmów i napojów, przedmiotem wielce ważnym dla mieszkańców Wiednia, których część znaczna zmuszona jest żywić się podrabianemi na różny sposób pokarmami. Daléj słuchaliśmy wykładów publicznych o geologji, w sali słynnego tutejszego stowarzyszenia geologicznego. Geologja najmniéj znalazła wielbicieli. Wykłady te przypomniały mi owe wieczory naukowe w resursie warszawskiej przed kilku laty, które tysiące zwabiały słuchaczy, acz dość ściśle specjalnemi zajmowały się przedmiotami. Tutejsza publika wcale nie jest tak żądną wiedzy jak nasza. Nawet prelekcje o nowoczesnéj poezji niemieckiéj nielicznych ściągnęły słuchaczy. Może zapowiedziane na post cztero-tygodniowe historyczne wykłady professora D[ra] Sickel: „*O Europie w czasie wojen o następstwo tronu hiszpańskiego*“ liczniejszych znajdą lubowników. Takowe rozpoczynają się 17go Lntego w wielkiéj sali akademji handlowéj.

Wiedeń więc bawi się całą duszą, hula z maską lub bez maski, w kostiumie lub bez kostiumu. Z balów maskowych, których codzień po 3 lub więcéj ogłaszają afisze, pierwsze bez wątpienia zajmuje miejsce bal dany przez matkę panującego cesarza, arcyksiężnę Zofję. Bal ten został urozmaicony żywemi obrazami w których brali udział: arcyksiążęta, bawiący tu zagraniczni znakomici goście i wybór tutejszéj arystokracji, wśród któréj dwa polskie występowały nazwiska: pani Zamojskiéj (któréj imienia dzienniki nie podały) i pana Ferdynanda Rzyszczewskiego.

Wśród kilkudziesięciu lub może nawet setki do téj pory odbytych maskarad i balów maskowych, w teatrach, redutach i salonach publicznych, pod względem dowcipu i sarkazmu zajmuje pierwsze miejsce tak zwany: „Wieczór głupców“ (Narren-Abend), wydany przez tutejsze towarzystwo śpiewaków „Gesang-Verein.“ W zabawie téj przyjęli udział literaci tutejsi, artyści i inteligencja należąca do wszystkich trzech doktoratów: prawa, medycyny i filozofji. Była wprawdzie i nieinteligencja, do któréj ośmieliłbym się dołączyć i adeptki młodsze choreografji, pospolicie corps de balet zwane, z niektórych tutejszych teatrów. Owóż ta różnorodna, różnobarwna i rozmaicie poprzebierana rzesza, dawała rodzaj zaimprowizowanych przedstawień. I tak na jednym końcu sali widzimy otyłego izraelitę, ubranego w polski żydowski strój, z drugiéj strony sali przechadza się gromada tyrolczyków, znanych powszechnie ze swéj nietolerancji. Tyrolczycy niosą na plecach dużą klatkę z napisem: „Klatka na heretyków“ spotykają się z żydem, osadzają go w klatce i potem zabijają nożami, wyciągając ze zwłok jego wielką ilość szynek i kiełbasek które natychmiast jeść poczynają. Gdy po téj sekcji przebrany żyd okazał się o połowę cienszym, wystrzał dany z galerji nagle zwrócił oczy obecnych w górę. Na galerji siedzi rzęd francuzkich żołnierzy i strzela do nowo przybyłéj gromady, złożonéj ze wszystkich narodowości Europy. Można tam ujrzeć charakterystyczne ubiory wszystkich ludów naszéj części świata; rezultatem owego wystrzału z góry, danego przez francuzów do Europy, jest dość znaczna kula, toczą ją wszystkie owe narodowości; po bliższym obejrzeniu okazuje się, że na téj kuli zupełnie nowa, odmienna zajasniała karta Europy.... Toczący kulę radują się z owych odmian, jedni skacząc rzucają obecnym dowcipne uwagi wierszem i prozą, drudzy wykonywają ze znajomością sztuki tańce różnych ludów których stroje przywdziali. Gdy to się dzieje, zwraca znowu uwagę wszystkich *bióro małżeństw*, ukazujące się w rogu sali, utrzymywane przez mieszkańców różnych państw rzeszy niemieckiéj, bawarczyk w niém prezyduje. Do tego bióra przychodzi para żądająca ślubu: dama ubrana żółto i czarno (narodowe kolory Austrji), kawaler czarno i biało (barwy pruskie). Przewodniczący w biórze małżeństw, odmawia tego ślubu, młoda para jednak nie zrażona tém, wyprawia sobie ucztę weselną, bez ślubu. Występuje wówczas ogromne grono tancerek i na znak dany odzywa się orkiestra i bal rozpoczyna; szczupłe ramy téj korrespondencji nie dają mi powtórzyć wszystkich dowcipów tego wieczoru prozą i wierszem, oddanych śpiewem, tańcem i muzyką.

Z niemaskowych balów miejskich najpierwsze miejsce zajmują: bal medyków, bal prawników, literatów i artystów, mieszczan Wiednia (na którym i cesarstwo znajdowali się) i wreszcie bal studentów uniwersytetu na korzyść studenckiego stowarzyszenia chorych (Kranken-Verein).

W teatrze dworskim „Burg-Theater“ zwanym, w którym grywają poważniejsze tylko utwory dramatyczne, święcono niedawno jubileusz nestora tutejszych dramaturgów, sędziwego poety *Grillparzera*, przedstawieniem jednego ze znakomitszych jego utworów scenicznych. Była to pięcio-aktowa tragedja pod tytułem: „Fale morza i fale miłości“ (Des Meeres und der Liebe Wellen). Poeta Grillparzer jest członkiem tutejszéj izby panów, która posiada jeszcze drugą znakomitość literacką, w osobie prezydenta swego, *księcia Auersperga*, znanego zaszczytnie w niemieckim świecie literackim pod pseudonimem *Anastjusza Grün'a*.

Szereg zabaw karnawałowych zakończył w wielkim świecie bal dworski w sobotę 6go Lutego, w miejskim zaś świecie szereg balów prywatnych i publicznych, maskowych i niemaskowych. W niedzielę znów był powtórny „wieczór głupców“ artystyczno-literacko choreograficznych, a w poniedziałek ostatni, wieczorem odbyła się wielka przejażdżka maskowa po ulicach miasta; cała kalwakata owa wyruszyła do któréjś wsi przyległéj Wiedniowi, zdaje mi się że do Fünfhaus. Proszę sobie jednak nie wyobrażać, że to sielskie ustronie jak Mokotów lub Willanów. Wsie otaczające Wiedeń zlewają się już z przedmieściami miasta, stanowiąc prawie jedną całość i liczą razem imponującą cyfrę 118,000 mieszkańców, podnosząc tym sposobem ogólną cyfrę ludności stolicy do 668,000, podług ostatnich statystycznych obliczeń. *A propos* ludności tutejszéj, przypomina mi się zdanie któregoś z zamieszkałych tu rodaków, który powiedział raz do mnie; „Wiesz o co najtrudniéj w Wiedniu?“ „O prawdziwego niemca.“ Zdanie to wprawdzie przesadzone, ale niema kwestji że dziś trzecia część mieszkańców składa się z czechów (któych liczba sto tysięcy przeszło wynosi), węgrów (do czterdziestu tysięcy) i kilkadziesiąt tysięcy różnych narodowości: polaków, serbów, rusinów, niemców, etc. etc. A w owych $^2/_3$ częściach ludności czysto-niemieckiéj, jeszcze w pewnéj ilości da się wyśledzić pochodzenie obce; w części są to zniemczeli czesi. Nic tu smutniejszego nie robi wrażenia dla każdego słowianina jak czech przesadzony na niemiecką ziemię. W Wiedniu zdaje on się wstydzić ojczystéj mowy i w publicznych zakładach, w teatrach, restauracjach, kawiarniach używa obcego języka i naśladuje we wszystkiem obcy obyczaj. Na ulicach tylko usłyszysz czasem biednych wyrobników mówiących po czesku, bo po niemiecku nie umieją. Ludzie ci znajdują się po większéj części w nędzy i używani są do najcięższych robót za niską opłatę. Rzecz jednak szczególna że nie zdarzyło mi się prawie spotkać prawdziwego wiedeńczyka, niemca, któryby nie umiał po czesku i to wcale nie źle. Owa to klassa biednych czechów, którzy swój tylko posiadają język, a są najemnikami, stróżami, wyrobnikami, fabrykantami drobnemi, zmusza mieszkańców niemieckich, z któremi mają codzienny stosunek do gruntownego poznania czeskiego języka. Zdaje mi się, że gdyby intelligencja czeska obficie tu reprezentowana, wzięła się na dobre do mówienia wszędzie i głośno ojczystym językiem, to wkrótce Wiedeń stałby się miastem w części czeskim lub czesko-słowiańskim. Zupełnie odmiennie zachowują się węgrzy i południowo-wschodni słowianie, którzy ubiorem i mową narodową wyróżniają się wydatnie wśród różnoplemiennéj ludności tutejszéj.

* * *

O UBIORACH.

Te nawet kobiety, które z największém przerażeniem odwracają się od nauk ścisłych, muszą uderzyć czołem przed nowemi postępami chemji, które nauczyły rękodzielników tak świetnemi odziewać je barwami. Przed kilkoma jeszcze laty kolory szafirowy i fijałkowy nazywa-

ne były *plamistemi* i rzadko noszone przez oszczędne osoby, bo rzeczywiście, zmieniały się od lada kropli wody, od słońca, od powietrza. Dziś, przy wydoskonaleniu sztuki farbiarskiéj pod wpływem chemji, są w materjach jedwabnych i wełnianych tak trwałe, jak każde inne kolory, a do tego tak piękne jak dawniéj nigdy nie bywały. Chcąc się o tém przekonać, dość porównać wyroby dzisiejsze z dawniejszemi, nie tylko będącemi już w użyciu, ale takiemi które leżą jeszcze po sklepach. Szczególniéj francuzkie tkaniny celują pod tym względem, w niemieckich jeszcze napotkać można nietrwałe lub mniéj piękne kolory, prawda że w samym Lyonie według ceny fabrycznéj, aksamit cały jedwabny kosztuje po 22 franki metr. i taki nasi kupcy porachowawszy koszta cła i transportu, muszą nam przedawać po 40 złp. łokieć. ale cóż téż to za wyrób śliczny! jak pięknie się w nim wydaje ten kolor ciemno niebieski, jaki francuzom podobało się ochrzcić meksykańskim błękitem, *bleu mexique*, a który był bardzo w tym roku używany u nas, na podpięcie do czarnych kapeluszy, niezmiernie bowiem przypada do twarzy blondynkom, które w nim świeższe, młodsze o jakie lat dziesięć się wydają. W tym kolorze są także piękne wełniane popeliny podwójnéj szerokości na 7 złp. łokieć. Oglądałyśmy w magazynie p. Włodkowskiego takiéjże saméj szerokości pewien rodzaj materji do kamlotu podobnéj, nazwanéj w fabryce zkąd wyszła, *double orléans*, w cenie złp 4 gr 20. Materja ta nie łatwo ulegająca zmięciu, da się nosić w każdéj porze. Najświeższe materje tak wełniane jako téż i jedwabne których noszenie ustali się zapewne w tym roku, są w prążki podłużne białe lub czarne mniéj więcéj na pół cala od siebie oddalone. Inne znowu mają wzdłuż nieco szersze czarne paseczki, którym po dwóch bokach prążki towarzyszą, co przypomina angielską trawę. Tego rodzaju suknie wełniane sprzedają się po 80 i 90 złp. sztuczka. Chcąc mieć jednak suknie z wystrojeniem u dołu, stósowniéj jest kupić gładką materję.

O kroju sukien przychodzi powtórzyć to co się już kilka razy pisało. Dwa bawety z przodu, z tyłu karoczki to fałdowane to gładkie, powtarzają się bez żadnéj prawie odmiany; rękawy wązkie z wystrojeniem na szwie pachy, a białe rękawki do nich przypominające męzką koszulę. W ubraniach na głowę pojawiają się częściéj kokardy z końcami po za uchem umieszczone, a połączone z jednéj strony z djademem; trzeba téż wyznać że z téj strony bardziéj ubranéj, zawsze piękniéj profil twarzy wygląda. Widziałyśmy u pani Włodkowskiéj niezmiernie piękne ubranie na głowę zwane hiszpańskiém. Składały go czarny aksamit, czarna koronka i paciorki z lawy, takąż klamrą przepięte na wierzchu. Duża, przejrzysta chusteczka koronkowa, spadająca daléj niż zwykłe wycięcie wygorsowanéj sukni, spinała się na piersiach wielką jak georgina rozetą z aksamitu przepysznego pąsu. Téj rozecie odpowiadała druga podobna, umieszczona nad lewą skronią i odbijając mocno od czarności koronki i aksamitu, podnosiła oryginalność tego stroju, nad który powabniejszego wymyśleć trudno, szczególniéj téż do utrwalenia swego oblicza na fotografji, gdzie tak dobrze twarz ubiera zręcznie okalająca głowę draperja.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Ner 1. Szlak do obrusa kościelnego na tiulu, aplikacja muślinu ściegiem gipiurowym.
„ 2. Przód do kaftaniczka dla 7mio-letniéj dziewczynki, wyszycie jedwabiem kolorowym, ściegiem długim przeciąganym
„ 3. Plecy.
„ 4. Boczek.
„ 5. Rękaw z wyłożeniem.
„ 6 — 7. Czepeczek dla dziecka, na muślinie wyszyty tasiemeczką.
„ 8 do 21. Rogi do chustek, tarcze, cyfry większe i mniejsze do chustek od nosa, poszewek i bielizny stołowéj.
„ 22 — 23 — 24. Szlarki i ząbki.
„ 25. Szlak do spódnicy: po nad szerokim obrąbkiem haft angielski, medaljony we środku ściegiem atłaskowym.
„ 26. Szlak do spódnicy tasiemeczką, medaljony atłaskiem.
„ 27 — 28. Kołnierzyk i rękawki na dubeltowém płótnie, haft atłaskiem.
„ 29 — 30. Pantofle sukienne wyszyte tasiemeczką,
„ 31 do 34. Szlaczki i ząbki.
„ 35. Końce do szarfy lub krawatki.
„ 36 do 44 Imiona, cyfry i tarcze do chustek od nosa.
„ 45 — 46. Szlarki.
„ 47 do 57. Pasek pocztyljoński. Paski podobne są bardzo używane, mogą być w dwóch kolorach, to jest w czarnym i w kolorze sukni, składają się z czterech części; jeden kolor z przodu do boczków, drugi od boczków do tyłu, przednia część paska jest objęta tasiemeczką koloru tylnéj części, przód zaś ozdobiony guziczkami stalowemi, srebrnemi lub perłowemi. Pasek taki może być także zupełnie czarny. Figura przodu paska jest pod Nrem 51 tyłu źaś pod Nrem 52.

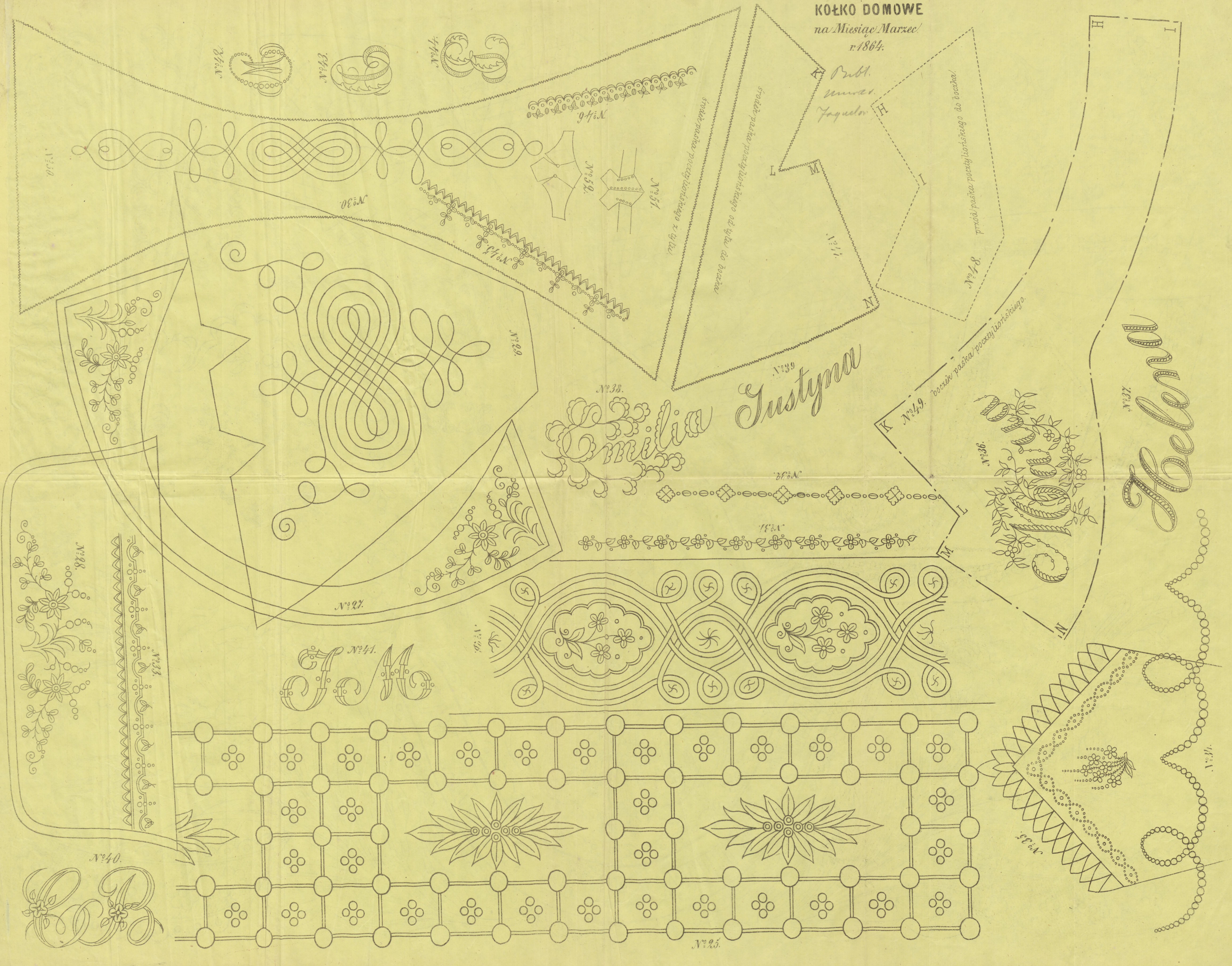


Compte Calix Inv. Moine Imp. r. St. Louis en l'Ile, 90, Paris A. Cavrashe 1087

KÓŁKO DOMOWE

Marzec 1864

KOŁKO DOMOWE
na Miesiąc Marzec r. 1864.




№ 13.
№ 14.
№ 17.
№ 16.
№ 1.
MARIO ŚWIĘTA MÓDL SIE ZA NAMI